

II. 791.449

REWIZOR

CZYLI

PODRÓŻ BEZ PIENIĘDZY.

J

REWIZOR

czyli

PODRÓŻ BEZ PIENIEDZY.

KOMEDIA W PIĘCIU AKTACH

z Rossyjskiego

N. GOGOLA.

TEUMACZONA

PRZEZ

Jana Chełmickowskiego

Art. Dram.



NAKŁADEM RUBENA RAFAŁOWICZA KSIĘGARZA WILEŃSKIEGO.

WILNO.

w Drukarni M. Zymelowicza Typografa.

1846.

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001010221387

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. — Wilno 1843 roku 17 Junii.

Cenzor, JAN WASZKIEWICZ.

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA*

II. 791.449



1970 K 911/33

OSOBY.

ANTONISKWOŹNIK DMUCHANOWSKI, Horodniczy.

ANNA, jego żona.

MARYA, ich córka.

CHEOPOW, Inspektor Szkoły.

Jego żona.

LIAPKIN—TIAPKIN, Sędzia.

ZIEMLENIKA, Kurator Szpitalów.

SZPEKIN, Pocztmajster.

PIOTR DOBCZYNSKI

PIOTR BOBCZYNSKI } Obywatele Miasta.

ALEXANDER CHLESTAKOW, Urzędnik z Petersburga.

JÓZEF, jego służący.

KRYSTYAN HIBNER, Doktor.

TEODOR LIULIUKOW

JAN ROSTAKOWSKI } Dymisyonowani Urzędnicy.

STEFAN KOROBKIN } Celniejsze miasta osoby.

Żona Korobkina.

UHOWERTÓW, Czastny Prystaw.

SWISTUNOW

PUGOWICZYN } Policyanci.

DZIERŻYMORDA

ABDULIN, Kupiec.

POSZLEPKINA, Słosarka.

MICHAŁEK, służący Horodniczego.

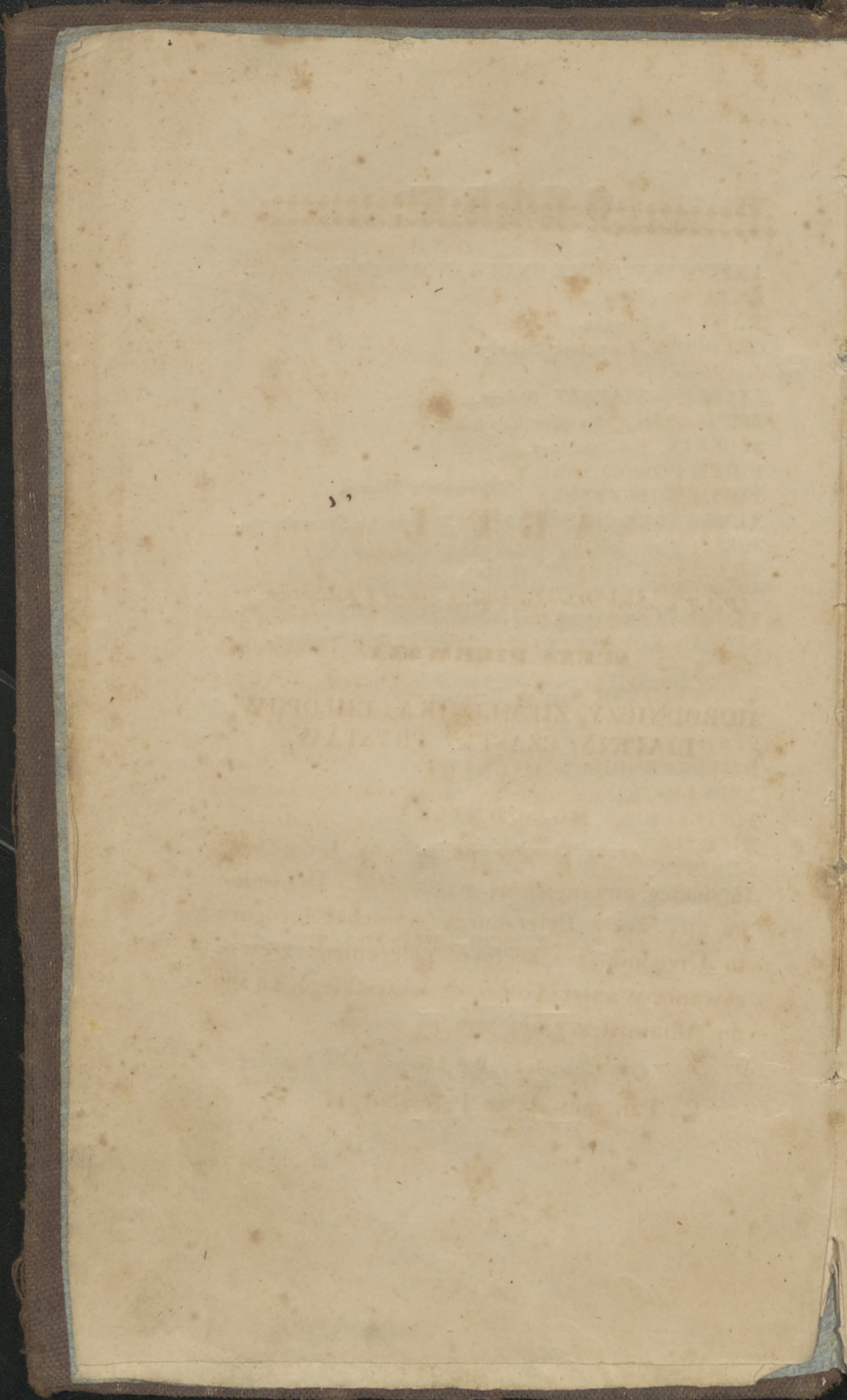
KIELNER.

ZANDARM.

Głos Jemszczyka

DAMY — GOŚCIE — KUPCY — MIESZCZANIE — SUPLIKANCI.

— — — — —
Scena w małym powiatowym miasteczku.
— — — — —





A K T 1.

(Pokój w domu Horodniczego, z oknem i gabinetami.)

SCENA PIERWSZA.

HORODNICZY, ZIEMLENIKA, CHŁOPOW,
LIAPKIN, CZASTNY PRYSTAW,
HIBNER.

HORODNICZY.

Zaprosiłem Panów po to: aby Im udzielić nader nieprzyjemną wiadomość. Doniesiono mi, że z Petersburga wyjechał incognito Urzędnik z sekretnym poleceniem, zrewizowania w naszej Gubernii wszystkiego, co się do Administracyjnej władzy ściąga.

LIAPKIN.

Co Pan mówisz! z Petersburga?

ZIEMLENIKA *(ze strachem.)*

Z sekretném poleceniem?

CHELOPOW *(ze strachem.)*

Incognito?

HORODNICZY.

Przyznam się Wam otwarcie, że mnie to mocno zatrwożyło. Dzisiejszej nocy jakby przecuciem, śniły mi się dwa nadzwyczajne stworzenia, jakich nigdy jeszcze nie widziałem, czarne, ogromnie wielkie; przybiegły, powąchały, i odeszły. Ale przeczytam Wam list, który odebrałem od Andrzeja Iwanowicza Czmuचना — znasz go Panie Ziemenika. Otoż on, tak pisze: „Kochany Przyjacielu, Kumie i „Dobrodzieju! *(mruczy pod nosem przebiegając list oczami.)* Donoszę Ci...“ A!... „Pośpieszam przy tém zawiadomić Cię, że „przybył do nas Urzędnik z poleceniem obecnienia całej Gubernii, a mianowicie naszego powiatu. *(ze znaczeniem podejmuje palec w górę.)* Dowiedziałem się o tém od „wiarogodnych osób. A ponieważ wiem dobrze, że ty... mój Przyjacielu, jak każdy „z żyjących, masz malutkie grzeszki, boś człowiek z rozumem i nie lubisz tém pogardzać, „co przez ręce do kieszonki wpływa.“ *(za-*

stanawia się mówiąc.) Przecież nie ma tu obcych, ale wszyscy swoi . . . „więc radzę Ci „bydź ostróżnym, albowiem on, lada godzina „przybyć do was może, jeżeli tylko już nie „przyjechał, i niezamieszkał gdzie incognito „to. Wczoraj...“ No! dalej same, familijne wiadomości . . . „Siostra Anna Kiryłówna „z mężem do nas przyjechała, Iwan Kiryłowicz „bardzo potluścił i ciągle gra na „skrzypcach.“ i t. d., i t. d.“ Otoż to tak się rzeczy mają.

LIAPKIN.

W istocie, nadzwyczajne wydarzenie.

CHELOPOW *(do Horodniczego.)*

Powiedz mi Panie Antoni, dla czego i po co do nas posyłają Rewizora? Wszakże nasze miasto, zdaje się, tak jest dalekiem od wszystkiego, że o niem nawet i myśleć nie warto.

HORODNICZY *(wzdychając.)*

Ach!!.. dotąd strzegł nas Bóg od tego. Zdarzało się wprawdzie, czytać w gazetach: że w takiem to miejscu, tego za oberchapki wsadzili do turmy, tamtego oddali pod Sąd, za zbyteczne pobłażanie i kradzież, lub za fałszowanie; ale wszystko to zdarzało się, dzięki Bogu, w drugich miastach, a u nas dotych-

czas żadnych rewizyi, ani rewizorów nie bywało.

LIAPKIN.

Ja myślę, że w tém bydź musi jakaś bardzo delikatna i polityczna przyczyna. Zapewne Rossyja, chce rozpocząć wojnę i dla tego Ministerium wysyła Urzędnika, dla przekonania się: czy nie ma gdzie jakiej zdrady, lub niebezpieczeństwa.

HORODNICZY.

Nie, Panie Liapkin, chociaż jesteś uczony, jednakże się mylisz. Co tu bydź może niebezpiecznego w naszym powiatowym miasteczku. Gdyby było pograniczném, to możnaby jeszcze coś wnioskować. Ale ono stoi diabeł wie gdzie, zupełnie na ustroniu... galopuj ztąd choć przez trzy lata, to do żadnego Państwa nie dojedziesz.

LIAPKIN.

O! nie, Rząd nasz ma subtelne widoki: nie to, że nasze miasto leży w oddaleniu, jednakże może bydź na przeszkodzie.

HORODNICZY (*machnął ręką.*)

No! już to ciebie Panie Liapkin nikt nie przegada. Ale do rzeczy Panowie! zebrałem Was tu umyślnie... we względzie uporząd-

kowania naszego miasta; ja cokolwiek już się urządziłem, radzę i Wam, pójść za moim przykładem. Mianowicie tobie Panie Ziemienska. Przejeżdżający Urzędnik, zechce bez wątpienia, obejrzeć przedewszystkiém zostające pod twoim dozorem Szpitale. Dla tego proszę: ażeby wszystko było przyzwoitém. Szlafmyce powinny być czyste, chorzy zaś lepiej ubrani jak codziennie; podobni do kowalów; z resztą, potrzeba porobić przed każdym łóżkiem łacińskie napisy, lub jakie inne. Tobie Panie Hibner najwłaściwiej przystoi tém się zająć; należy wyrazić nazwisko każdej choroby, kiedy i którego dnia chory został przyjętym i tém podobnie. (*zamilkt i pokręcił głową.*) Ale, ale ... Wasi chorzy tak mocno palą tytuń, że za wejściem do nich, trzeba dusić się od kaszlu. Postarajcie się także, ażeby liczba chorych, o ile można, była najmniejszą, bo inaczej przypiszą to niedbałości w dozorowaniu, lub nieumiętności Lekarza.

Z I E M L E N I K A.

O! na to conto jużesmy się z Panem Konsyliarzem, jak potrzeba rozporządzili. Wszystko zależy od sposobu leczenia: ja sędzę, że im bliżej natury, tém lepiej i korzystniej. I

rzeczywiście, na co expensować i zapisywać drogie lekarstwa dla jakiego tam inwalida? Człowiek prosty kiedy ma umrzeć, to umrze nie zawodnie; a jeśli ma wyzdrowieć, to i bez lekarstw wyzdrowieje. Przy tém Panu Doktorowi przytrudnoby było rozpytywać się chorych, ponieważ nie umie po rusku. Nie lepiejże, ochronić Skarbowy interes, i umniejszeniem wydatków powiększyć kapitał. Wtenczas Rząd widząc moję gorliwość, ani wątpić, przedstawi mię do nagrody dla zachęcenia drugich. (*obracając się do Hibnera.*) To jest, sądzę, że i Pan Konsyliarz otrzyma przytém jakiebądź zadowolenie.

HIBNER (*wydaje odgłos nieco podobny do litery i. a. nieco do e.*)

HORODNICZY.

Radziłbym także, tobie Panie Liapkin, zwrócić uwagę na twoje sądownictwo. Tam w pierwszym pokoju, który jest przeznaczony dla Suplikantów, stróże spędzają gęsi z małemi gąsieniami, które ciągle snują się pod nogami. Prawda, że w gospodarstwie, gęsi są nieodbitcie potrzebne, i że się ich chowa, nie można brać tego za złe; ale w takim miejscu, to nieprzyzwoicie... już to ja nie raz chciałem

Panu o tém namienić, ale zawsze zapominam. — Oprócz tego, brzydko, że w Sali Sądowej, suszą się ladajakie gałganki, a nad szafą z papierami, wisi myśliwski harapnik. Wiem to: że Pan lubisz polowanie, ale zawsze lepiej zdjąć go na jakiś czas; a gdy już sobie Rewizor szczęśliwie przejedzie, wówczas można będzie znowu go zawiesić. Także Assesor Wasz... może on być najlepszym człowiekiem i znającym prawo; ale ma tak nieprzyjemny odcz, jakby tylko co wyszedł z gorzelnii... to bardzo nie dobrze, chciałem ja i o tém nie raz z panem pogadać, ale byłem nieco roztargniony. Są środki, któremi można tę odrażającą woń cokolwiek złagodzić. Kiedy już w istocie, jak on sam powiada, jest ona jakoby zapachem z urodzenia; powinienby jeść cebulę, ezosnek, lub coś podobnego. W tém najlepiej dopomoże, swoją radą lub medykamentami, Pan Doktor.

HIBNER (*wyduje taki sam odgłos.*)

LIAPKIN.

Nie; temu już nikt nie da rady. — On powiada: że jeszcze w niemowlęctwie, skaleczyła go mamka i smarowała spirytusem; o toż od tego czasu, jakoby daje się słyszeć od niego cokolwiek odór wódczany.

HORODNICZY.

A!... no, ja tylko tak namieniłem. Na conto zaś wewnętrznego porządku, i tego co to mój przyjaciel w liście swoim nazywa: małutkami grzeszkami, nie mam nic do powiedzenia — bo mówić o tém, byłoby dziwactwem; wszakże nie ma ani jednego żyjącego człowieka, któryby jakiego grzechu na sobie nie nosił — to już sam Bóg tak postanowił, i na próżno jacyś tam Wolterzyści, krzyczą przeciwko temu.

LIAPKIN.

Cóż to Panie Antoni uważasz za grzeszki? grzechy, grzechom nie równe. Ja chociaż mam jakie grzeszki, to zupełnie niewinne! Wiadomo ci przecie, że jeżeli co biorę czyli upoluję to tylko małutkami charciatkami.

HORODNICZY.

No, charciatkami, czyli czém inném, zawsze bierzesz.

LIAPKIN.

E, nie, Panie Antoni to wcale co innego. Naprzykład, twoja szuba kosztuje pięćset rubli, a....

HORODNICZY.

No i cóż z tego, że ty Panie Liapkin bie-

rzesz tylko maleńkiemi charciatkami? Za to w kościele nigdy nie bywasz, nie modlisz się; a ja Bogu chwala, w wierze jestem mocny i każdej niedzieli chodzę do kościoła. Ty zaś.... o! znam cię dobrze, kiedy zaczniesz o stworzeniu świata dowodzić, to aż włosy na głowie powstają.

LIAPKIN.

Ja to sam doszedłem, własnym swoim rozumem.

HORODNICZY.

No, no, Bóg to wie najlepiej: jeżeli w jednej materyi mamy zbyt wiele rozumu, to w drugiej mniej, jakby go zupełnie nie było. Zresztą ja tak tylko namieniłem o powiatowym Sądzie; to kącik spokojny, sam Bóg nim się opiekuje, i chyba tylko przypadkiem ktoś do niego zajrzy. Ale tobie Panie Chłopow, jako Inspektorowi Szkoły, należy trochę się zatrudnić; a mianowicie co do twoich professorów. Bez wątpienia są to ludzie uczeni, odbierali nauki po różnych kollegiach, jednakże ich sposób postępowania przy wykładaniu lekcyi, jest nader dziwacznym. Jeden z nich, naprzykład, ten z wydatnemi policzkami. ... nie pamiętam jego nazwiska, gdy stanie w swojej ka-

tedrze, nie może się obejść bez grymasów — oto jak (*robi grymas.*) A potem ręką, z pod wielkiego halsztucha zaczyna gładzić swoją brodę. Wreszcie, kiedy on Studentowi taką twarz pokaże, to jeszcze nic, może to w końcu tak potrzeba, o tém ja sądzić nie mogę; jednakże, sam powiedz, jeżeli on zrobi podobną minę przed wizytującym, to będzie bardzo źle. Pan Rewizor lub ktokolwiek na jego miejscu, może to wziąć za naigrawanie się i Bóg wie co z tego wyniknie.

CHEŁPOW.

Ah mój Boże! ja głowę tracę.

HORODNICZY.

Powinienem także namienić tu i o Profesorze historyi. Jest to głowa nie dla proporcji, człowiek pełen wiadomości; ale cóż, kiedy wykłada je z takim ogniem i entuzjazmem, że zapomina o samym sobie. Byłem raz przytomny jego lekcji . . . dopóki mówił o Syryjczykach i Babilończykach, to i jakożkolwiek szło ale jak zaczął dowodzić o Aleksandrze Macedońskim, nie mogę wyrazić co się z nim zrobiło. Rozumiałem, że się pali. Wskoczył z swojej katedry, chwycił za krzesło i z całej siły uderzył nim o posadzkę. Prawda, że A-

Alexander Macedoński był to sławny bohater ale na cóż łamać krzesło? przez to robi się szkoda dla Skarbu.

CHEOPOW.

Tak, on ma wiele ognia, jest nieco za gorący; mówiłem mu to nie raz... Prawdziwie, nie wiem co z nim robić?....

HORODNICZY.

Już to tak idzie na świecie: że człowiek rozumny, albo jest pijakiem, albo twarz tak szkaradnie wykrzywia, że każdego przestraszy.

CHEOPOW.

A to prawdziwy kłopot.!

HORODNICZY.

Nic to że kłopot; ale co gorsza, że nie wiadomo, w jakiej stronie miasta mam czekać na niego, kiedy i w jakim czasie. To przekłete incognito! bardzo mię niepokoi! Wpadnie jak z procy, zajrzy: „Ha! wy tu, gołąbeczki!“ powie, a który z Was jest Sędzią? „Liapkin Tiapkin—“ o! przywołać do mnie Liapkina! a kto jest Inspektorem Szpitalu?— Ziemenika. A! zawołać Ziemenikę! — O-tóż to jest, czego ja się lękam.

SCENA DRUGA.

CIŻ I POCZTMEJSTER.

HORODNICZY.

Jakże się masz Panie Szpekin! umyślnie posłałem po ciebie, ażeby ci donieść ważną nowinę.

POCZTMEJSTER.

Słyszałem już o tém od Bobczyńskiego, który tylko co był u mnie na poczcie.

HORODNICZY.

No i cóż ty o tém myślisz Panie Janie?...

POCZTMEJSTER.

Co myślę! To, że będzie niezawodna wojna z Turkami.

LIAPKIN.

Ja także tak myślę.

HORODNICZY.

Nie, nie! zupełnie co innego.

POCZTMEJSTER.

Niezawodna wojna z Turkami. A to wszystko z przyczyny Francuzów.

HORODNICZY.

Gdzie tam wojna! gdzie tam Turcy! — Tu złe nam grozi, a nie Turkom. To już

wiadomo: pisze do mnie wyraźnie człowiek
 wiarogodny, że niezawodnie Urzędnik jedzie
 z Petersburga po to, aby obejrzeć nasze mia-
 sto i przekonać się czy wszystko jest w nale-
 żytym porządku.

POCZTMEJSTER.

To być może.

HORODNICZY.

Mnie coś skura drżeć zaczyna. A tobie
 kochany Poczmejstrze?

POCZTMEJSTER.

Tak cokolwiek, cokolwiek... A ty Pa-
 nie Antoni, czy bardzo się boisz?

HORODNICZY.

Dla czegoż bać się! ja się nie boję, ale
 tak coś myślę, czy czasem który z naszych
 mieszczan, lub kupców... bo mówiąc mię-
 dzy nami, stanąłem im kością w gardle. Za
 to patrzą oni na mnie jak jastrzębie, gotowi
 mię całego na cząstki rozerwać. (*odprowa-
 dza go na stronę.*) Ale usuńmy się cokolwiek.
 Otóż rzecz się tak ma: Spodziewany Rewizor,
 jeżeli jeszcze nie przybył, to pewnie już jest
 nie daleko nas. Ja, mówiąc między nami,
 mam nie jakie przyczyny domyślać się, czy

nie skarżył się kto na mnie. Bo dlaczegożby taka napaść na nasze miasto? a do tego jeszcze incognito?... Diabli wiedzą co tam za incognito!, wszakże tu jest władza miejscowa, na cóż więc to incognito?... Trzeba zatem kochany Panie Szpekin, dla wspólnego naszego dobra, każdy list w twojej kantorze, przychodzący i odchodzący... wiesz.... tak, cokolwiek rozpieczętować: a to dla przekonania się, czy nie ma w nim jakiego doniesienia lub skargi. Jeżeli nie, to można go zapieczętować na nowo. Do tego najlepiej zrobić jakikolwiek wycisk z gliny; wreszcie można nawet oddać list bez zapieczętowania.

POCZTMEJSTER.

Wiem, wiem!... ja to robię i bez tego: nie przez ostrożność, ale z ciekawości; ponieważ mówiąc między nami, bardzo lubię wiedzieć co jest nowego na świecie. Powiadam ci Panie Antoni, że to jest nader interessujące zajęcie! w niektórych listach tak są dobre i piękne zwroty... do zbudowania nawet! lepsze nierównie jak w Moskiewskich gazetach. Nie czytałeś tego nigdy?

HORODNICZY.

Nie, nie czytałem; lecz mocno się cieszę,

że ty Panie Janie tém się zajmujesz. To dobrze, chociażby tylko dla przepędzenia czasu. Powiedz że mi, czy dotąd nie wyczytałeś o jakim Urzędniku Petersburgskim?

POCZTMEJSTER.

O Petersburgkim nic; ale o Kostromskich i Saratowskich bardzo wiele. Szkoda jednak, że ty Panie Antoni żadnych listów nie czytywasz. Są w nich przesliczne ustępy. Oto nie dawno czytałem: jakiś porucznik pisząc do swojego przyjaciela, opisuje bal i życie swoje z taką umiejętnością i sztuką, że zachwycać się potrzeba. „Ja przepędzam czas, mówi on, z prawdziwą przyjemnością; kobiet dużo, muzyka brzmi, Sztandart-junkier skacze . . .“ ah! z wielkiem, z wielkiem czuciem to opisał. Jeżeli chcesz, dam ci ten list przeczytać. Umyślnie go u siebie zatrzymałem.

HORODNICZY.

Dziękuję najpokorniej. Teraz nie czas do tego. Zniłuj się mój Panie Janie: jak tylko poweźmiesz jaką wiadomość, to zaraz ją do mnie przysyłaj; a jeżeli w liście znajdziesz jaką skargę, lub doniesienie, to bez ceremonji zatrzymaj go u siebie.

POCZTMEJSTER.

Z największém ukontentowaniem.

LIAPKIN (*podchodząc do nich.*)

Zobaczycie, dostanie wam się kiedyś za to.

POCZTMEJSTER (*sposzreglszy go.*)

Ah!....

HORODNICZY.

Nic to, nic. My swoi, nie ma się czego lękać, to rzecz przyjacielska, familijna.

LIAPKIN.

Tak. Jednakże to nieprzewidziane wydarzenie! A ja właśnie przybyłem do ciebie Panie Antoni, ażeby ci się przysłużyć moją suczką. Rodzona siostra tego wyżyła którego znasz bardzo dobrze. Niedawno w moim Sądzie dwaj obywatele sąsiedzi, rozpoczęli proces między sobą, i ja teraz trzebję zające w kniejach jednego i drugiego.

HORODNICZY.

Bóg z nimi, i ze wszystkiemi zającami! W moich uszach teraz brzmi tylko to przekłete incognito. — Zdaje mi się, że w tej chwili drzwi się otwierają i wchodzi!....

SCENA TRZECIA.

CIŻ — BOBCZYŃSKI I DOBCZYŃSKI —

(wchodzą razem, pchając się jeden przed drugim.)

BOBCZYŃSKI.

Nadzwyczajne wydarzenie!

DOBCZYŃSKI.

Niespodziewana wiadomość!

WSZYSCY.

Co? cóż takiego?

DOBCZYŃSKI.

Rzecz nieprzewidziana: wchodzimy do Hotelu.....

BOBCZYŃSKI *(przerywając.)*

Wchodzimy z Panem Piotrem do Hotelu...

DOBCZYŃSKI *(przerywając.)*

E, za pozwoleniem, ja opowiem.

BOBCZYŃSKI.

E, nie, za pozwoleniem, ja sam... proszę pozwolić... Pan Piotr nie może tak gładko się wyrazić, nie ma płynnej mowy....

DOBCZYŃSKI.

A Pan Piotr, nie pamięta dobrze wszystkich szczegółów; zaraz się zająknie.

BOBCZYŃSKI.

E, nie; pamiętam. Dalibóg pamiętam. Tylko nie przerywaj proszę, ja sam opowiem. Nie przerywaj! — Przez litość Panowie, powiedźcie mu, żeby mi nie przerywał.

HORODNICZY.

No i cóż? mówże, na miłość Bożką! co takiego? Moje serce drgać zaczyna. Siadajcie Panowie! zmiłujcie się siadajcie! Panie Pietrze, oto krzesło. (*Wszyscy usiedli na okolo tych dwóch Piotrów.*) No, cóż takiego?

BOBCZYŃSKI.

Za pozwoleniem — zaraz wszystko z porządku opowiem. Tylko co ztąd wyszedłem... E, Panie Pietrze nie przerywaj! milez, bądź łaskaw; ja sam już wiem!... Tylko co ztąd wyszedłem, natychmiast pobiegłem do Korobkina, a nie zastawszy Korobkina w domu, wróciłem się do Rostakowskiego; a nie znalazłszy Rostakowskiego, zaszedłem o to do Pana Jana, — (*wskazując Pocztmejstra*) ażeby mu zanieść odebraną tu nowinkę — wyszedłszy zaś od Pana Jana, spotkałem Pana Piotra.....

BOBCZYŃSKI (*przerywając.*)

Obok budki, gdzie bułki sprzedają.

BOBCZYŃSKI.

Obok łutki, gdzie butki przedają. Uważajcież Panowie!.. Opowiadam panu Piotrowi wiadomość, jaką pan Antoni otrzymał z wiarogodnego listu, a pan Piotr mówi, że już słyszał o tém od klucznicy pana Antoniego, Awdotji; która nie wiem po co, była posyłaną do Filipa Antonowicza Poczeczuszwy...

DOBCZYŃSKI.

Po beczkę od francuzkiej wódki.

BOBCZYŃSKI.

Po beczkę od francuzkiej wódki. Otoż ja z panem Piotrem weszliśmy do Poczeczuszwy... E, bądź łaskaw panie Pietrze, nie przerywaj; zmituj się nie przerywaj!.. weszliśmy do Poczeczuszwy, ale po drodze pan Piotr mówi mi: „dzisiaj do traktyerni przywieźli świeżego łososa, więc pojedźmy zakąsić.. Tylko co wchodzimy do traktyer., aż tu młody mężczyzna....

DOBCZYŃSKI (*przerywając.*)

Nie szpetnej twarzy, w kusym tużureczku.....

BOBCZYŃSKI (*przerywa.*)

Nie szpetnej twarzy, w kusym tużureczku... przechadza się po pokoju; w jego postaci wi-

dać rozwałę i rozsądek, jego fizjonomija obejście i tak . . . tu (*kręci rękę około głowy*) dużo, dużo wszystkiego. — Jakby przeczując, powiedziałem sobie: to coś ważnego być musi. A w tém pan Piotr kiwnął palcem, by przywołać do siebie gospodarza, oberżystę Blasa: jego żona trzy tygodnie temu wydała na świat synka; przesliczny malec, chłopiec wielkich nadziei; z czasem będzie coś z niego, jeśli tylko jego ojciec zechce dalej trzymać traktyernię. Otóż tedy, pan Piotr przywoławszy do siebie oberżystę Blasa, spytał go pociechu: kto jest ten młody mężczyzna? a Blas odpowiedział: to jest, powiada... E, bądźże łaskaw panie Pietrze, nie przerywaj! ty tego tak dobrze nie opowiesz, dalibóg nie opowiesz, jesteś szepietliwy, masz cztery szczerbate zęby . . . To jest powiada . . . młody człowiek! Urzędnik, przybyły z Petersburga: Alexander Chlestakow, a jedzie aż w Saratowską Guberniją, lecz nie najlepiej tu siebie zarekomendował: więcej jak półtora tygodnia już mieszka u mnie, i dalej jechać nie myśli — bierze wszystko a conto, a jeszcze mi ani kopiejki nie zapłacił. — W jednej chwili stanąłem jak wryty, i mówię do pana Piotra: Ehe! . . .

DOBCZYŃSKI.

Nie, panie Pietrze, to ja powiedziałem: Ehe!..

BOBCZYŃSKI.

Z początku ty powiedziałeś, a później ja. Ehe! mówiliśmy razem z panem Piotrem dla jakiej kategorii on tu siedzi, wówczas kiedy ma jechać Bóg wie dokąd: aż w Saratowską Guberniją! — To zapewne nie kto inny byź musi, jak tylko ten sam Urzędnik, którego się spodziewamy.

HORODNICZY.

Co mówisz! to być nie może (*przysuwa się z krzesłem.*) Nie, to się tobie tak zdało; to nie on.

DOBCZYŃSKI.

Jakto nie on: kiedy i pieniędzy nie płaci i nie odjeżdża!... Któż może być inny, jeżeli nie on?... z jakiegoż względu mieszkałby tutaj, kiedy w jego podorożnej stoi wyraźnie: w Saratow!

BOBCZYŃSKI.

On, on; dalibóg, on!... pójde w zakład o niewiedzieć co!... A jaki obserwator: obejrzał wszystkie kąty, nawet i nasze talerze, aby się przekonać co jemy. A co za przezorność, niech Bóg broni!

HORODNICZY.

Ah! Boże! miej nas grzesznych w swojej opiece!... Gdzież stanął?

DOBCZYŃSKI.

W piątym numerze pod schodami.

BOBCZYŃSKI.

W tym samym pokoiku, w którym się przeszłego roku, przejeżdżający oficerowie pobili.

HORODNICZY.

A od jak dawna on się tu znajduje?

DOBCZYŃSKI.

Już z półtora tygodnia.

HORODNICZY.

Półtora tygodnia!... (n. s.) Aj! aj! aj!
(*drapiąc się za uszy.*) W tym półtora tygodniu, schłostano niewinnie podoficerską żonę! o Boże w tym półtora tygodniu, aresztantom nie wydawano żadnej prowizyi. Na ulicach nieczysto, brudno. O Boże! Boże!...
(*chwytając się za głowę.*)

ZIEMLENIKA.

Mnie się zdaje Panie Antoni, trzeba nam teraz co prędzej włożyć mundury, i natychmiast jechać wprost do niego.

LIAPKIN.

Ja zaś myślę, że należałoby zebrać pospólstwo, zwołać wszystkich kupców, a na ich czele głowę miasta, to człowiek widny, okazały. Nie zaszkodziłoby także posłać po duchowieństwo. To będzie mieć jakies głębokie i tajemnicze znaczenie.

HORODNICZY.

Nie, nie! ja to wszystko inaczej urządzę.—
(do Bobczyńskiego). Mówisz więc Panie Pietrze, że to jest człowiek młody?

BOBCZYNSKI.

Tak około lat dwudziestu trzech, czterech nie więcej.

HORODNICZY.

No, to bardzo dobrze że młody. Otoż tak zrobimy: Panowie każdy z swojej strony, czyńcie co prędzej przygotowania do przyjęcia tak zacnego gościa, ja zaś pójdę sam. alboweż z panem Piotrem, prywatnie, tak spacerem, dowiedzieć się niby: czy zajcżdżający do austeryi passażerowie, nie doznają jakiego braku lub nieprzyjemności. Panom zaś radzę, zająć się natychmiast i korzystać z czasu. Ej! Swistunow! —

SWISTUNOW (*przystępując.*)

Słucham!

HORODNICZY,

Ruszał natychmiast po Czastnego Prystawa... albo nie, zostań! będziesz mi potrzebny. Pószlój tam kogokolwiek, tylko jak można najprędzêj; po Czastnego Prystawa, a sam przychodź tutaj.

SWISTUNOW (*bieży z pośpiechem.*)

ZIEMLENIKA.

No, idźmyż; idźmy Panie Liapkin. To nie są żarty, może ztąd wyniknąć wielka bięda.

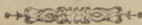
LIAPKIN.

Co tobie za bięda: masz wszystko w porządku, ale ja....

ZIEMLENIKA.

Djabła tam w porządku! w nieładzie i wielkim nieładzie. Dla chorych dzisiaj nie się w kuchni nie gotuje. —

(*Sędzia. Kurator. Poczłmejsler i Inspektor wychodzą, i irącują się we drzwiach z powracającym Kwartainym.*)



SCENA CZWARTA.

HORODNICZY. BOBCZYŃSKI. DOBCZYŃSKI. SWISTUNOW.

HORODNICZY (*do Kwartalnego*),

A co? drażki czy już czekają?

SWISTUNOW.

Czekają.

HORODNICZY.

Idź na ulicę... albo nie, stój! idź i przynieś mi.... A gdzie są drudzy? czy tylko jeden tu jesteś?... Wszakże rozkazałem wyraźnie, ażeby i Prochorów był tutaj. Gdzie jest Prochorów?

SWISTUNOW.

W Części; ale do niczego użyć go nie można.

HORODNICZY.

Jakto?

SWISTUNOW.

Tak: przywieźli go dziś rano prawie bez duszy. Już dwa cebry wody wylano na niego, a jeszcze się nie przetrzeźwił.

HORODNICZY (*chwytła się za głowę*.)

Ah! mój Boże! mój Boże! — Idźże żywo na ulicę... albo nie, bierz pierwój do mego

pokoju — słyszysz! i przynies mi moję szpadę, nową szpadę! rozumiesz?! No, Panie Pietrze, pójdziemy.

BOBCZYŃSKI.

I ja, i ja Panie Antoni, weźcież i mnie z sobą.

HORODNICZY.

Nie, nie! nie można, nie można! nawet w drażkach się nie ponieścimy.

BOBCZYŃSKI.

Nic to, ja sobie pójde piechotą za drażkami. — Chciałbym choć przez szczelinę na niego popatrzeć; albo przez dziurkę od klucza widzieć jego z wami obejście, złość, lub dobroć i nic więcej.

HORODNICZY (*przyjmując od Kwartalnego szpadę.*)

Ruszaj natychmiast, zwołaj wszystkich dziesiętników, niechaj każdy z nich weźmie.... Eh! jaka odrapana szpada!... o! przeklęty kupiec Awdulin — widzi, że u Horodniczego stara szpada, a nie przyszłe nowój. O! złośliwy narodzi! a takie chytre!... ja myślę, że tam już najmniej z tuzin prośb na mnie przygotowali. (*do Kwartalnego.*) Niechaj każdy z nich weźmie w rękę ulicę — do diabła, weźmie wrękę ulicę!.. nie, miotłę!.. i niech

czysto wymiotą trotoary, które prowadzą do oberży. Słyszysz? Patrzajże: ty, ty! ja ciebie znam: jesteś tam niby w kumowstwie, a srebrne tyżeczki chowasz do botfortów! Ej! będzie lichy. — Coś ty zrobił z kupcem Czerniajewym, he?.. On ci dał dwa arszynty sukna na mundur; a tyś ściągnął całą sztukę. Strzeż się bratku, strzeż się!

SWISTUNOW (*odchodzi.*)

SCENA PIĄTA.

CIŻ I CZASTNY PRYSTAW.

HORODNICZY (*do Czastnego.*)

A!.. dobrze że tu jesteś Panie Szczepanie! powiedź, dla Boga, gdzie siedziałeś do tychczas?

CZASTNY PRYSTAW.

Byłem tuż za bramą.

HORODNICZY.

No, mój Panie Szczepanie! dowiedz się: że spodziewany Urzędnik z Petersburga, już do nas przyjechał. Jakżeś tam wszystko urządził?

CZASTNY PRYSTAW.

Jak Pan rozkazałeś. Kwartalnego Paho-

wiczyna posłałem z budnikami oczyścić trotoar.

HORODNICZY.

A gdzież Dzierżymorda?

CZASTNY PRYSTAW.

Pojechał na pożarną sikawce.

HORODNICZY.

A Prochorów, pijany?

CZASTNY PRYSTAW.

Tak, pijany.

HORODNICZY.

Jakżeś mógł na to pozwolić?

CZASTNY PRYSTAW.

A djabli go wiedzą. Wczoraj za miastem, wszczęła się między mieszczanami bitwa, — pojechał on tam dla uśmierzenia, a dziś wrócił pijany.

HORODNICZY.

Stuchajże Panie Szczepanie, tak zrobisz: Kwartalnego Pugowiczyna, ponieważ jest wysokiego wzrostu, postawisz na moście dla pilnowania porządku. — Każesz natychmiast rzucić stary parkan, ten blisko szewca, a na miejscu jego wytknąć słomianną wiechę, na znak zaczętej fabryki. A uważać dobrze, żeby wszystko było pokruszone na najdrobniej-

sze cząstki, bo im większa łamanina, tém większą czynność gospodarza miasta dowodzi. — Ach! mój Boże! na śmierć zapomniałem, że około tego parkanu nawalono ze czterdzieści wozów różnego śmiecia. Co to za brzydkie miasto: postaw tylko gdzie bądź jakikolwiek pomnik, albo prosty parkan, zaraz djabli wiedzą zkąd, naniosą rozmaitego plugawstwa! — (*wzdycha*) A jeśliby przyjezdny Urzędnik, pytał się u naszych podkomendnych: Czy są wszyscy zadowoleni? — żeby odpowiedzieli: Zadowoleni Wielmożny Panie; a jeżeli broń Boże który z nich powie: Niezadowolony, to później tak go zadowolnię, że mię długo popamięta. — Ach! zgrzeszyłem, i bardzo zgrzeszyłem! (*bierze futerał zamiast kapelusza*) O! gdyby tylko Bóg co prędzej dozwolił zrzucić z głowy ten kłopot, to postawię w Kościele taką wielką świecę, jakiej jeszcze żaden xiądz nie widział — każdemu bestji kupcowi każe dostawić po trzy pudy wosku. Ach! mój Boże! mój Boże!... No, idźmyż Panie Pietrze! (*zamiast kapelusza chce włożyć futerał.*)

CZASTNY PRYSTAW.

Co Pan robisz, to futerał, nie kapelusz.

HORODNICZY (*rzuca futerał na ziemię.*)

Futerał? bierz go djabeł! — A jeżeli zapyta się, dla czego nie zbudowano kościoła przy Szpitalu, na co już przed pięćmi laty asygnowano pieniądze; to nie zapomnij powiedzieć: że kościół zaczęto robić, ale się spalił. Ja o tém nawet i raport już posyłałem — bo mógłby kto przez zapomnienie, tak niechęcący się wygadać: że u nas o nowym Kościele nawet i nie słyszano. — A! powiedz Dzierżymordzie, ażeby nie bardzo dawał woli kułakom a to on dla porządku, kładzie okulary pod oczami winnemu i niewinnemu. Jedźmy, jedźmy Panie Pietrze. — (*idzie i wraca*) Żołnierzy nie wypuszczać na ulicę, bez wszystkiego bo to bezwstydne żołdactwo po wierzch koszuli kładzie tylko mundur, a w dole nie ma nic. — (*wszyscy odchodzą.*)

SCENA SZÓSTA.

ANNA I MARYA (*wybiegają na scenę.*)

ANNA.

A gdzież się podzieli? ah mój Boże!...
(*otwiera drzwi i woła*) Mężu! Panie Antoni! Antolku! (*mówi prędko*) Wszystkiemu ty

winną jesteś, przez ciebiem się spóźniła. Jak zacznie się ubierać to i końca nie ma, (*głosem cieniutkim*). Zaraz... tylko jeszcze szpilka, tylko kosynka!.. (*bieży do okna i krzyczy*) Antosiu, Antosiu! a gdzież to, gdzie?... Co?... przyjechał?... Rewizor?... z wąsami?... a z jakimi wąsami?...

HORODNICZY (*za sceną.*)

Później, duszko! później!....

ANNA.

Później? a to znowu co nowego — później! Ja niechcę później... powiedz mi tylko słowo: kto on jest, czy Pułkownik? he?... (*z pogardą*) Pojechał! poczekajże, ja ci to przypomnę! (*do córki*) A wszystko ta nie dobrego: „mamo, mamo! zaczekaj! zaraz, tylko zaszpilę kosynkę.“ Otóż twoje zaraz co narobiło! teraz nie wiem o niczem! oh! ta przeklęta kokieteria — jak tylko usłyszała głos Pocztmejstra, dalejże do zwierciadła, migi, dygi, krygi. Wmówiła sobie, że się za nią ubiega, a on tylko żartuje z ciebie, i stroi różne miny, jak się od niego odwrócisz.

MARYA.

No, cóż robić mamo?.... za dwie godziny o wszystkiem się dowiemy.

ANNA.

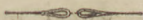
Aż za dwie godziny! bardzo dziękuję. O-tóż to mi przyjemna odpowiedź. — Czemuż nie powiesz: za miesiąc. (*zwiesza się przez okno*) Ej, Awdotja! a co, czy wiesz kto to przyjechał?... nie wiesz?... głupia!... machał rękami?... niechajby machał, jednakże mogłaś była go się wypytać. — Nie dowiedziałaś się! Oh, ty ośla głowo!... Co, prędko odjechali?... czemużeś za drążkami nie pobiegła. — Idź, idź mi natychmiast! słyszysz? biegnij, wypytaj się dobrze: gdzie pojechali, co to jest za przyjezdny, czy młody, czy piękny, czy w znaczeniu, rozumiesz?... Zobacz przez dziurkę i przekonaj się o wszystkim: jakie ma oczy— czarne, czy nie — Z wąsami, lub bez nich; etc. — a najdalej za minutę, już bądź tu z powrotem — słyszysz? — (*Obie patrzą przez okno—zastona spada.*)

KONIEC AKTU I.



A R T 2.

(*Maleńki pokój w Oberży — Łóżko z pościelą, stolik, mała walizka, pusta butelka, buty, miotłeczka od sukien, fajka z cybuchem, kapczuch i t. p. wszystko w nieładzie.*)



SCENA PIERWSZA.

JÓZEF (*leżąc na pańskim łóżku.*)

Niech djabli porwą! jeść chcę okropnie, a w żołądku trzask, burczenie, jak gdyby w nim cały pułk kawaleryi na trwogę trąbił. — Otóż podobno i do domu nie dojedziemy, co tu robić? . . . Dwa miesiące już minęło, jak wyruszyliśmy z Petersburga! mój Pan przez drogę pieniądze przehulał, a teraz siedzi skromnie jak gołabeczek. Jednakże, wystarczyłoby mu na prołonne i bardzoby wystarczyło; ale

cóż, kiedy w każdym mieście trzeba wystąpić, trzeba się pokazać. (*przedszeźniając swego Pana*) „Ej, Józef! . . . ruszaj! wybierz pokoje najpiękniejsze, zamów obiad najlepszy; nie mogę jeść ladajakich potraw, rozumiesz? . . .“ Wprawdzie nie jest to od rzeczy, żyć w drodze wygodnie; ale mój pan to istny utracysz! . . . Zabiera znajomości z przejeżdżającymi, i nie długo czekając, dalej z nimi w karteczki. Dzisiaj szasta, jutro basta! — Eh, prawdziwie, takie nieregularne życie już mi się sprzykrzyło! Na wsi nie równie lepiej: mała ludność, mniej hałasu i kłopotu; złap jakiego bab-sztyla, leż sobie spokojnie cały wiek na połacie i jedz pirogi. Jużci mówiąc Bogiem a prawdą, to najlepiej żyć w Petersburgu. Aby tylko pieniądze, to można pędzić czas wesoło i przyjemnie: Teatry, tańczące pieski, skoki na linach, konne sztuki, słowem wszystko co zechcesz. Każdy przemawia uprzejmie i delikatnie. Wejdiesz naprzykład, między kupców, wołają na ciebie: Szanowny Panie! — Tu stara oficerka zajdzie tobie drogę; tam znowu pokojówka zagładnie ci w oczy, a taka... fiu, fiu, fiu! . . . (*trzęsie głową uśmiechając się.*) Co za galanteryjne obejście! Niegrzecznego słowa nigdy nie usłyszysz: każdy mówi do ciebie: Mon-

sieur. Sprzykrzyło ci się chodzić, bierz do-
 różkę, siadaj, i jedź sobie jak Pan—a nie chcesz
 płacić remiznikowi, zostawia to do twój wo-
 li. W każdym domu jest brama na wylot,
 przez którą można szmygnąć tak bezpiecznie,
 że i sam djabeł cię nie znajdzie.— Tylko mi
 się to nie podobało: że jednego dnia podjesz
 do woli, a drugiego ledwie że nie pęknie-
 z głodu, jak dziś naprzykład.— A wszystkie-
 mu pan mój winien!.... Co z nim robić?...
 Ojciec przysze pieniądze, a on zamiast je tro-
 chę potrzymać, zamenażować, kręci się z nie-
 mi i wierci po wszystkich kątach: piechotą a-
 ni kroku nie stąpi, wciąż jeździ remizą—każ-
 dego dnia, musisz chodzić do teatru po bilet.
 Szastum, prastum! a najdalej za tydzień, po-
 syła mnie na tołkuczy rynek sprzedać frak
 lub tużurek. Czasem wszystko aż do koszu-
 li puści między ludzi; i tylko mu zostaje to
 co na nim, to jest: płaszczyk i surducina....
 Nie raz dalibóg! aż za serce ściśnie; sukno
 najlepsze jakie bydź może, prawdziwe angielskie,
 jeden frak półtorasta rubli mu kosztuje,
 a na rynku każe go sprzedać za dwadzieścia;
 o pantalonach zaś nie ma co i mówić, te idą
 za bezcen. A dla czego? oto dla tego, że hul-
 taj; nic nie robi: zamiast pójść do obowiązku,

idzie na spacer, lub na szulerkę. O! gdyby o tém nasz stary Pan wiedział! bez względu na to żeś urzędnik, uchyliwszy koszulki, wysypałby ci ze dwieście pomiatełek, ażebyś się poskrobał najmniej dwa tygodnie. Kiedy służyysz, to służ!... Albo i teraz, gospodarz wyraźnie oznajmił: że nic więcej nie da, dopóki mu nie zapłacimy za to, co się już nabrało.— Ah!... (*wzdycha*) Mój Boże, żeby tak choć z misę barszczu, albo kapusty!... zdaje mi się, że w téj jednéj chwili pożarłbym samego siebie!... (*pukanie*) Ktoś puka, to on zapewne — (*zeskakuje żywo z łóżka i otwiera drzwi.*)



SCENA DRUGA.

JÓZEF I CHLESTAKOW.

CHLESTAKOW.

Na, weź to! (*oddaje mu laskę i furaczkę*) Jak widzę, znowus leżał na łóżku?

JOZEF.

Dla czegoż miałbym leżyć? Nie widziałem łóżka, czy co?

CHLESTAKOW.

Kłamiesz, leżałeś; bo pościel zgnieciona.

J Ó Z E F.

Na co mnie pańska pościel? mam nogi: to
mogę postać.

CHLESTAKOW *(chodzi po pokoju.)*

Tytuń jest?

J Ó Z E F.

Nie ma ani okruszyny! przecież przed czter-
ma dniami, Pan reszkę wykurzył.

CHLESTAKOW *(chodzi, niecierpliwi się i w rozmaitych
kształtach wykrzywia gębę — nakoniec mówi mocnym i
stanowczym głosem.)*

Ej, Józef! słuchaj....

J Ó Z E F.

Co Pan każe?

CHLESTAKOW *(mocnym ale nie tak stanowczym głosem.)*

Idź, tam....

J Ó Z E F.

Gdzie?

CHLESTAKOW *(słabym głosem prawie proszącym.)*

Obok, do bufetu... powiedź... żeby da-
li objad, dla nas.

J Ó Z E F.

Nie, ja nie pójdę.

CHLESTAKOW.

Jak ty śmiesz, łotrze!

JÓZEF.

A tak; bo czy ja pójdę czy nie, to wyjdzie na jedno. Gospodarz powiedział: że więcej nie da objadu.

CHLESTAKOW.

A toż dla czego?

JÓZEF.

Nawet pójdę, mówi: do Horodniczego; trzy niedziele pije, i je, a jeszcze i kopiejki nie zapłacił. Wy z swoim panem, mówi: łotry i oszusty, a to nam nie nowina!

CHLESTAKOW.

E! a tyś już i kontent, że możesz to wszystko powtórzyć.

JÓZEF.

Przyjedzie, mówi: zamieszka, zadłuży się, potem go i wygnąć z domu trudno. Ja, mówi: żartów nie lubię — natychmiast idę ze skargą — i albo pieniądze, albo turma.

CHLESTAKOW.

No, no, dosyć! Osioł!... — ruszaj po objad!

JÓZEF.

To ja lepiej samego gospodarza do Pana poproszę.

CHLESTAKOW.

Na co mnie gospodarz? ja chcę objadu.

JÓZEF.

Tak Panie, ale....

CHLESTAKOW.

Niech cię djabli porwą! idź, już idź! i za-
wołaj do mnie gospodarza.

JOZEF (odchodzi.)

—♦♦♦♦♦—

SCENA TRZECIA.

CHLESTAKOW (sam.)

Jeść mi się chce zawzięcie. Przeszedłem się cokolwiek, sądząc, że apetyt przejdzie — djabła tam, nie przechodzi. Gdybym był moich pieniążków w Penzie nieprzeszastał, wystarczyłoby na dojechanie do domu. — Jednakże ten piechotny Kapitan z pewnością mnie podchwycił; ale bo też do zadziwienia, jak cudnie stosika przeryzyna. — Wciągu kwadransa ograł mnie do szeląga — Slicznie gra! ah, żebym go mógł jeszcze spotkać, ale jak? na to trzeba czasu, zdarzenia, a ja chciałbym co prędzej dojechać do domu: bo mi ta droga do żywego dojadła — W rzeczy samej: takie nędzne miasteczko; nie ma w niém nic, co się zowie: nie. — Tu w pobliskim handlu jesiotry jeszcze

dość znośne, ale te przekłete kupczyki mało ich dają na sprobowanie, (*przyspiewuje sobie coś z Roberta, potem poświstuje: „Nie szej ty mnie matuszka“ nareszcie ani to ani owo.*) Nikt nie przychodzi.

—•••••—
SCENA CZWARTA.

CHLESTAKOW. JÓZEF I KIELNER.

KIELNER.

Gospodarz kazał mi się zapytać, czego Pan potrzebujesz?

CHLESTAKOW.

A, to ty bracie! czyś zdrów, czyś wesół?

KIELNER.

Chwała Bogu.

CHLESTAKOW.

Cóż tam słyhać u was, czy wszystko idzie dobrze?

KIELNER.

Tak, chwała Bogu — wszystko dobrze.

CHLESTAKOW.

Czy dużo przejeżdżających?

KIELNER.

Dosyć dużo.

CHLESTAKOW.

Słuchaj no, mój kochany: mnie dotychczas jeszcze objadu nie przynieśli; otóż bądź łaskaw popędzaj ich, żeby prędzej dawali; bo widzisz, zaraz po obiedzie muszę się czémś zająć.

KIELNER.

Ale gospodarz mówił: że już więcej nie na kredyt nie da. Nawet chciał dzisiaj iść do Horodniczego, ze skargą na Pana.

CHLESTAKOW.

Na co ta skarga, osądź sam mój kochany — przecież jeść muszę. Inaczéj mógłbym śmiertelnie zachorować. Djabelnie dziś jestem głodny, mówię to nie żartem.

KIELNER.

Tak w istocie! Ale on powiedział wyraźnie, że nie da objadu, dopóki Pan nie zapłacisz za to, co już zjadłeś. Takie są jego własne słowa.

CHLESTAKOW.

A więc go przekonaj, staraj się mu wmówić....

KIELNER.

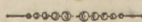
I cóż ja mu powiem?....

CHLESTAKOW.

Zastrasz go — powiedz mu otwarcie: że ja bez jedzenia żyć nie mogę, że muszę jeść koniecznie. Pieniądze, rozumie się, będą zapłacone On może myśli, że każdemu tak łatwo być głodnym, jak jemu prostakowi! he? Widzisz go!

KIELNER.

Dobrze, ja mu powiem. (*odchodzi z Józefem*)

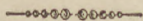


SCENA PIĄTA.

CHLESTAKOW (*sam.*)

Jednakże to będzie szkodzenie, jeżeli on ze wszystkiemi nie da. A mam wileczy apetyt, jakiego w życiu niedoświadczałem. Mamże co z moich sukien puścić między żydki? Nie, nie chcę; lepiej być głodnym, a przyjechać do domu w Petersburgskim kostiumie. Szkoda że mój Nochym nie dał mi na kredyt karety, nie źleby było zajechać do domu w karecie. A jeszcze lepiej wstąpić po drodze do jakiego obywatela, sąsiada; otożbym ich przestraszył! . . . zawracam pod ganek domu, wyglądają z okna i szepeją do siebie: Co to jest? kto to taki? mój Józef w szamrowanej złotem liberyi, wchodzi do pokoju i mel-

duje: „Pan Alexander Chlestakow z Petersburga, panowie przyjmują?“ Te prostaki, nie wiedząc nawet co to znaczy: „panowie przyjmują“ stoją z rozdziawionemi gębami; bo do nich jeżeli i przyjedzie jaki niedźwiedź obywatel, to zaraz wyłazi z bryczki, a nie mówiąc ani słowa, wali prosto do pokoju — wchodzę więc, witam gospodynię i gospodarza, zbliżam się do ich ślicznej córeczki, i mówię: ah! Pani, jakżem“... Tfu! (*pluje*) aż mi ckliwo, tak jeść chcę.



SCENA SZÓSTA.

CHLESTAKOW, JÓZEF, *potém* KIELNER.

CHLESTAKOW,

A co?

JÓZEF.

Już niosą.

CHLESTAKOW (*klaszcząc w dłonie i podskakując na krzesle.*)

Niosą, niosą, niosą!...

KIELNER (*z serwetą i talerzami.*)

Gospodarz mówił: że już ostatni raz daje Panu objad.

CHLESTAKOW.

Gospodarz, gospodarz . . . ja drwię z twojego gospodarza! — A co tam takiego?

KIELNER.

Zupa i pieczyste.

CHLESTAKOW.

Tylko dwa dania?

KIELNER.

Tylko.

CHLESTAKOW.

A to co ma znaczyć, he? — Ja tego nie przyjmuję. Powiedz mu mój kochany: że to w saméj rzeczy mało.

KIELNER.

Nie, gospodarz mówi, że to za wiele.

CHLESTAKOW.

A dla czego nie ma potrawy?

KIELNER.

Bo nie ma.

CHLESTAKOW.

Jakto nie ma! przecieżem widział, przechodząc koło kuchni, jak gotowano rybę i kotlety.

KIELNER.

Bydź może, dla tych, którzy coś znaczą.

CHLESTAKOW.

Ah, ty łotrze! gamoniu! głupcze!

KIELNER.

Tak panie!

CHLESTAKOW.

Capie! nic dobrego!... Czy oni nie tak jedzą jak ja?!.. dla czegożbym więc nie miał jeść tego co i oni?... albożem nie taki pasażer jak drugi?

KIELNER.

Wiadomo, że nie taki.

CHLESTAKOW.

Jakiż, jaki?

KIELNER.

Jak zwyczajnie!... tanci płacą gotówką.

CHLESTAKOW.

Z tobą ośle nie ma co i gadać. (*nalewa zupę i je*) Co to za zupa? to woda! żadnego smaku, stęchła, przysmalona. Niechcę takiej zupy, przynieś inną.

K I E L N E R.

Dobrze Panie. Gospodarz mówił, że jeśli pan zechcesz, to nic nie da.

CHLESTAKOW (*zastania rękami jedzenie.*)

No, no, no... zostaw! przywykłeś obchodzić się niegrzecznie z drugimi, to myślisz że i zemną tak można; ja bracie, jestem innego rodzaju, nie radzę tobie... (*zajada*) Tfu! co za szkaradna zupa! (*przestaje jeść*) Ręczę, że żaden człowiek w świecie nie jadł takiej zupy. Jakies pióra pływają w miejscu masła. (*rznie kuraka*) Aj, aj, aj! jakaż twarda kura!... Daj pieczyste!... Tam na dnie jest jeszcze cokolwiek. Józefie, dokończ za mnie. (*kraje pieczyste*) Cóż to za potrawa? to ma być pieczyste?

K I E L N E R.

A cóż?

C H L E S T A K O W.

Djabli wiedzą co, dość że nie pieczenia—kawał drzewa zgotowanego. (*zajada*) Oszusty! Szalbierze! czém ludzi karmią! — wszystkie zęby wylecą, nim zjesz jeden kawałek. (*dłubie palcem w zębach*) Łajdaki! wydrwigrosze! zupełnie jak kora od drzewa, niczém wy-

jąc nie można — złodzieje! (*wyciera gębę serwetą*) Więcej nie ma nie?

KIELNER.

Nie!

CHLESTAKOW.

Rozbójniki!... żeby też choć powąchać jakiegokolwiek sosu, albo melszpajzu... Rzeźmieszki! obdzierają tylko przejazdnych. (*Kielner z Józefem sprzątają i wynoszą talerze.*)

—•••••—

SCENA SIÓDMA.

CHLESTAKOW, później JÓZEF.

CHLESTAKOW.

W istocie, jakbym nic w gębie niewidział; tylko się rozłakomiłem. Ah! żeby miał drobne, natychmiastbym poszedł na rynek, chociaż po bułki.

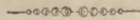
JÓZEF (*wchodząc.*)

Tam przyjechał Horodniczy, rozpytuje się, o Panu i chce się z nim widzieć.

CHLESTAKOW (*przelekniiony.*)

Otóż masz! — Dalibóg, tego się nie spodziewałem... To bestya traktyernik! może w samej rzeczy zawlecze mię do turmy?... To

i cóż? jeżeli tylko grzecznie poprosi, to jeszcze pół biedy i owszem, pójdę... ale nie, co ja mówię?... Wczoraj tak mile spoglądały na mnie dwie kupieckie córeczki, oficerowie także bezustannie chodzą po ulicy... Nie, za nic nie pójdę. On nie może tego żądać odemnie; tak się postępuje tylko z mieszczaninem, albo jakim rzemieślnikiem... Nie, ja się wzięść nie dam! (*nabiera odwagi i rezonu*) Powiem mu wyraźnie: Jak pan śmiesz!... ja niechęć... (*drzwi się poruszają, Chlestakow blednieje.*)



SCENA ÓSMA.

CHLESTAKOW. HORODNICZY i DOB-
CZYNSKI.

(*Horodniczy wszedł i zatrzymał się — oba z Chlestakowem patrzą na siebie wytrzeszczywszy oczy.*)

HORODNICZY (*poprawiając się nieco i wyciągając rękę ku szpadzie.*)

Mam honor złożyć panu Dobrodz: moję u-
niżoność.

CHLESTAKOW (*klaniając się.*)

Ja nawzajem.

HORODNICZY.

Przepraszam, że...

CHLESTAKOW.

Nic to, nic!...

HORODNICZY.

Obowiązek mój, nakazuje mi jako naczelnikowi miasta, troszczyć się o to, ażeby przejeżdżające i wszystkie dystyngowane osoby, nie doznawały w mojem mieście żadnego przesładowania.

CHLESTAKOW (*z początku się jąka, a pod koniec kwestyi mówi głosem donośnym.*)

Cóż robić!... jam temu nie winien... ale na honor zapłacę..... mnie przyszła z majątku. (*Bobczyński przez drzwi wygląda*) On bardziej winien: pieczyste dał tak twarde jak drzewo; a zupę... djabeł wie co to było na miejscu zupy; zmuszony byłem wyłać ją przez okno. On mnie głodem po całych dniach morzył... herbata najgorsza: trąci rybą, a nie herbatą. Za cóż więc mam?...

HORODNICZY (*z tchórzowstwem.*)

Daruj Pan Dobrodziej, ja prawdziwie, nie jestem winien. Na rynku mięso zawsze dobre. Przywożą je Chołmogorscy kupcy, ludzie trzeźwi i dobrego prowadzenia. Nie wiem zkad tutejszy traktyernik bierze takie złe mię-

so. — Jeżeli Pan pozwoli, możemy się przejechać do innego mieszkania.

CHLESTAKOW.

Nie, ja niechcę; rozumiem, co znaczy to inne mieszkanie, to jest turma. Za cóż mnie... Pan nie możesz... nie masz na to prawa... ja pokażę podorożne... jestem Urzędnikiem, jadę do własnego mojego majątku w Saratowskiej Gubernji, służyć w ministerium... Pan się nie ośmielisz... ja będę się skarżył.

HORODNICZY *(n. s.)*

O! Boże, już wie o wszystkiém... A jaki złośnik! Wszystko mu już powiedzieli ci przekłeci kupcy.

CHLESTAKOW *(odważnie.)*

Jak Pan śmiesz!... mnie zna sam Minister... Nie, nie pójdę! dalibóg nie pójdę; chociażby tu cała Pańska komenda przyszła... *(n. s.)* Nie dam się wziąć, słowo honoru, nie dam się wziąć!... a jeśliby broń Boże!... to!... *(bierze w tyle ręką, stojącą na stole butelkę.)*

HORODNICZY *(wyciągnąwszy się trzęsie całym korpusem.)*

Panie! zmiłuj się, nie gub mnie!... Żona, małeńkie dziatki... nie rób nas nieszczęśliwemi.

CHLESTAKOW:

Nie, ja nie chcę. Co mnie tam! dla tego że Pan masz żonę i dzieci, mam iść do turmy, doskonale! — (*Bobczyński przez drzwi wygląda i ze strachem chowa się*) Nie, bardzo dziękuję, nie chcę.

HORODNICZY (*drząc.*)

Niedoświadczenie!... niemożność utrzymania się... pensja za szczupłą, ledwie na cukier i herbatę wystarcza. Jeżeli więc czasem wzięto się jaki datek, lub podarek, to prawie nic nieznaczący drobiazg, naprzykład: coś do zjedzenia, albo z odzieży — Co zaś do podoficerskiej żony, trudniącej się kupiectwem, która jakoby z rozkazu mojego została wychłostaną, to jest potwarz, dalibóg, potwarz!! Wszystko to wymyślili moi nieprzyjaciele; Ci złośliwi ludzie, nawet na życie moje nastawać gotowi.

CHLESTAKOW.

Tak zapewne.... (*z namyśłem*) Nie wiem jednakże, dla czego Pan mówisz mi o złośliwych ludziach, o jakiejś podoficerskiej żonie?... nie mam z nią żadnej znajomości. Podoficerska żona a ja, to wielka różnica, mnie Pan nieodważysz się chłostać. To byłoby za wie-

Je!... Ja należność zapłacę, tylko w tej chwili niemogę tego uczynić, bo nie mam ani grosza przy duszy. I to jest właśnie przyczyna, dla której muszę siedzieć tu tak długo.

HORODNICZY (n. s.)

Co to za przezorność!... Widzisz go gdzie skoczył! jak zgrabnie oczy zamydlił!... Proszę, go tu zrozumieć. Nie wiem teraz z jakiej beczki zacząć. E, spróbujmy, może się uda. (*głośno*) Jeżeli Pan Dobrodziej w istocie potrzebujesz pieniędzy, lub czego innego, to ja gotów natychmiast tém mu się przysłużyć. Moim obowiązkiem jest pomagać przejeżdżającym.

CHLESTAKOW.

Więc Pan mi pożyczasz?... o jeżeli tak, to będę mógł natychmiast rozplacić się z traktyernikiem — a na to jakie ze dwieście rubelków aż nadto wystarczy; — które za przybyciem moim do majątku, zwrócę Panu z podziękowaniem.... a to jak najprędzej!...

HORODNICZY.

Ah Panie! gotów jestem czekać wiele się jemu podoba; mógłżebym się odważyć naznaczać termin wypłaty. — Oto tu, jest jak raz dwieście rubli, nawet i liczyć niepotrzeba.

CHLESTAKOW (*biorąc pieniądze.*)

Bardzo dziękuję — mocno mu jestem obowiązany. Przyznam się, że mnie to niezmiernie ucieszyło; bo nie miałem już ani grosza. Pan jak uważam, jesteś człowiek grzeczny, dostojny; a z początku myślałem że... (*kładzie pieniądze do kieszeni.*)

HORODNICZY (*n. s.*)

No, chwala Bogu! wziął pieniądze. Teraz wszystko pójdzie dobrze. Zamiast dwiestu, wetknąłem mu czterysta.

CHLESTAKOW.

Ej! Józef! (*Józef wchodzi*) Zawołaj tu Kielnera. (*do Horodniczego i Dobczyńskiego*) Dla czegoż Panowie stoicie? zmiłujcie się siadajcie. (*do Dobczyńskiego*) Siadaj Pan, bardzo proszę.

HORODNICZY.

Nic to, postojemy.

CHLESTAKOW:

Ależ siadajcie Panowie, ja proszę, bardzo proszę!—(*do Dobczyńskiego*) Siadaj Pan! (*Horodniczy z Dobczyńskim siadają; Bobczyński przez drzwi zagląda.*)

HORODNICZY (*n. s.*)

Trzeba się osmielić. Chce jak widzę ob-

stawać przy swoim incognito. Dobrze, utwierdźmy go w tém mniemaniu i udajmy, jakbyśmy go nieznali, i o niczem nie wiedzieli. (*głośno*) Ja z Piotrem Iwanowiczem Dobczyńskim, tutejszym obywatelem, przechodząc tędy za interesem mojej służby, umyślnie wstąpiliśmy do oberży, dla przekonania się, czyli przejeżdżający są dobrze usłużeni, bo nie jestem z rzędu tych Horodniczych, którzy o niczem nie wiedzą; nie, ja extra obowiązku, jedynie z chrześcijańskiej miłości bliźniego, chcę: żeby każdy podróżny był tu dobrze przyjmowanym; i o to w nagrodę za gorliwe moje zajęcie, przypadek zrządził mi przyjemność, poznania jego zacnej osoby.

CHLESTAKOW.

Mnie również lez Pana bowiem, przymuszony byłbym siedzieć tu Bóg wie jak długo, nie widzę nawet sposobu wywdzięczenia się za tak ważną przysługę.

HORODNICZY (*n. s.*)

Tak, tak; gadaj zdrów! (*głośno*) Wolnoż mi zapytać, gdzie, i w jakie miejsce odbywasz Pan swoją podróż?

CHLESTAKOW.

Jadę do Saratowskiej Gubernji, do własnego mojego majątku.

HORODNICZY (*n. s. z ironiją.*)

Do Saratowskiej Gubernij! o! to zmyśla!
(*głośno*) Tak, przyjemna przejażdżka dla umy-
słu i serca. W podróży rozwijają się zdol-
ności... I Pan pewnie z własnej woli, tak
dla satysfakcyi tylko, przedsięwziąłeś tę po-
dróż.

CHLESTAKOW.

Nie; ojciec mój mnie wzywa — a ja mó-
wiąc prawdę, wolalbym mieszkać w Peters-
burgu.

HORODNICZY (*n. s.*)

Ojciec go wzywa... Co za wybieg! —
(*głośno*) A jak długo Pan myślisz tam bawić?

CHLESTAKOW.

Nie wiem. Chociaż nieprzyjemnie jest sie-
dzieć w domu, i nudzić się z wieśniakami, bo
nasi sąsiedni obywatele są to nieokrzescani lu-
dzie i bez żadnej formy; jednakże podałem się
do dymissyi.

HORODNICZY (*n. s.*)

I do dymissyi się podałeś! Brawo! co raz le-
piej! (*głośno*) Bardzo pięknie Pan zrobił. Co
za korzyść ze służby? same kłopoty: nocy nie
dośpisz, tracisz zdrowie dla dobra kraju, a na-
groda niewiadomo jaka i kiedy. — (*rzucając*

wzrokiem na ściany pokoju) Co tu za wilgoć!... ściany zupełnie mokre.... Mnie się zdaje, że to mieszkanie jest dla Pana za ciasne i nie wygodne.

CHLESTAKOW.

Prawda — najgorsze jakie być może; zimne, wilgotne, ciemne.

HORODNICZY.

Mogę się ośmielić, najpokorniej upraszać Pana Dobrodzieja, o jedno najtaskawsze zezwolenie, którego, bydź może, nie jestem godzien....

CHLESTAKOW.

Cóż takiego?

HORODNICZY.

Oto.... czy nie raczyłbyś Pan Dobrodz: przenieść się do mojego domku: mam dla niego bardzo wygodny pokój.

CHLESTAKOW (*z namysłem.*)

Jakto, do Pana?...

HORODNICZY.

Tak; prześlizny pokoik; Stół również choć nie wytworny, ale gospodarski—produkta świeże, nie takie jak w traktyerni. Nie chciej Pan odmawiać! mocno mnie tém uszczęśli-

wisz... Gościność jest moim żywiołem, wszystko co mam, gotów jestem oddać; a zwłaszcza dla tak dostojnego gościa. Nie myśl Pan Dobrodziej, żebym to mówił z pochlebstwa— Nie, téj wady ja nie mam: i mówię to, co czuję.

CHLESTAKOW.

Dziękuję najpokorniej. Ja także pokochałem Pana za pierwszém wejrzaniem.

—○○○○○○—

SCENA DZIEWIĄTA.

CIŻ i KIELNER *wprowadzony, przez JÓZEFA, BOBCZYNSKI* *wygląda ciągle przez drzwi.*

KIELNER.

Kazałeś Pan mię przywołać?

CHLESTAKOW.

Tak — Daj mi twój rejestr.

KIELNER.

Już dawno, podałem Panu niejeden, ale dwa rejestra.

CHLESTAKOW.

Jest o czém pamiętać, o twoich głupich rejestrach. A co się należy?

KIELNER.

Pierwszego dnia: Pan kazał dać cały obiad;

drugiego tylko zakąskę z łososia, i tak dalej,
a wszystko na kredyt.

CHLESTAKOW (*chcąc dobyć pieniądze.*)

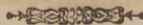
Milcz gapiu!... jeszcze wylicza. — Wiele się należy w ogóle?

HORODNICZY.

Nie masz nic pilnego, on zaczeka. (*do Kielnera*) Precz ztąd! później wam się odeszle.

CHLESTAKOW.

Tak, w samej rzeczy. (*chowa pieniądze. Kielner z Józefem odchodzi — Bobczyński wygląda.*)



SCENA DZIESIĄTA.

HORODNICZY. CHLESTAKOW. DOB-
CZYNSKI.

HORODNICZY.

Czy nie raczy Pan Dobrodziej, obejrzeć
taraz niektóre zakłady naszego miasta, jakoto:
Szpitale i inne?

CHLESTAKOW.

A to na co?

HORODNICZY.

Tak, dla rozmaitości — przekonać się o po-

rządki i biegu naszych zatrudnień... a to dla badawczego umysłu, koniecznie jest potrzebném; z tego czerpać można wiele przyjemnych i pożytecznych wiadomości.

CHLESTAKOW.

Z największym ukontentowaniem, gotów jestem służyć Panu.

HORODNICZY.

Także, jeśli to będzie jego życzeniem, udamy się stamtąd do powiatowej szkółki, dla obejrzenia i przekonania się o postępie nauk i sposobie ich wykładania.

CHLESTAKOW.

I owszem, i owszem.

HORODNICZY.

W końcu, jeżeli się podoba, zwiedzimy ostróg i inne miejskie więzienia — zobaczysz Pan, jak u nas utrzymują winowajców.

CHLESTAKOW.

A, do ostrogu — nie — obejrzymy lepiej Szpitale.

HORODNICZY.

To zależy od jego rozkazu. — Jakaż jest Pana wola, jechać własnym ekwipażem, czy razem ze mną na drążkach?

CHLESTAKOW.

Tak, lepiej na drażkach.

HORODNICZY *(do Dobczyńskiego.)*

No, Panie Pietrze, musisz zostać; nie ma dla ciebie miejsca.

DOB CZYŃSKI.

Nic to, ja tak...

HORODNICZY.

Oto zajdź lepiej do mnie, i powiedz mojej żonie... albo nie, dam ci karteczkę. *(do Chlestackowa)* Mogę się ośmielić, prosić Pana Dobrodzieja o łaskawe pozwolenie napisania w jego obecności, kilku wierszy do mojej żony, ażeby się przygotowała z przyjęciem tak ważnego gościa.

CHLESTAKOW.

Na co te ceremonije; wreszcie pisz Pan, bardzo proszę: oto atrament i pióro... tylko nie ma papieru, nie wiem.... chyba na tym rejestrze.

HORODNICZY.

Dobrze, gdziekolwiek. *(pisze i oddaje Dobczyńskiemu, który idzie do drzwi, w tym momencie drzwi się wywracają i podstuchający Bobczynski, leci razem zdrzwiami)*

na scenę i pada na ziemię. Wszyscy wydają krzyk, Bobczyński wstaje.

CHLESTAKOW.

Cóż to? skaleczyłeś się Pan?

BOBCZYŃSKI.

Nic to, nic; tylko na wierzchu nosa ma-
leńka ranka. Zajdę do naszego Doktora, on
da mi plaster, a wszystko przejdzie.

HORODNICZY (*grozi Bobczyńskiemu i mówi do Chle-
stakowa.*

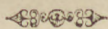
Proszę Pana Dobrodz: niech Pan raczy!...
A Pański służący, może zanieść walizkę. (*do
Józefa*) Słuchaj mój kochany, przeniesiesz
wszystkie rzeczy do mnie, do Horodniczego
rozumiesz? każdy ci moje mieszkanie pokaże.
Proszę Pana Dobrodz: (*przepuszcza naprzód
Chlestakowa i idąc za nim, obraca się do
Bobczyńskiego i mówi z nieukontentowaniem.*
E!... nie mogłeś znaleźć innego miejsca do
upadnięcia!... rozciągnął się, jak djabeł wie
co! (*wybiega — za nim zwolna Bobczyński.
Zastona spada.*)

KONIEC AKTU 2.



A R T 3.

(Pokój Pierwszego Aktu).



SCENA PIERWSZA.

ANNA. MARYA.

*(Stoją przy oknie w tychże samych pozycjach
jak przy końcu pierwszego Aktu.)*

ANNA.

Otóż już całą godzinę czekamy, a ja nie jeszcze nie wiem; a wszystkiemu winne twoje głupie krygi i przesadzona elegancja — już była ubraną — nie, jeszcze biega, szpera, szuka... lepiej gdybym cię była wcale nie słuchała. — Co to za zgryzota! żywej duszy nie widać, jakby wszyscy wymarli. —

M A R Y A.

To prawda, mamó; ale najdaléj za dwie minuty, dowiemy się wszystkiego. Awdotji tylko co nie widać, (*przypatrując się w oknie i krzycząc:*) Ah! mamó, mamó! patrz, kto to tam idzie w końcu ulicy?...

A N N A.

Gdzie? zawsze jesteś w przywidzeniach... (*patrzy*) Ale tak, któżby to był?... nizkiego wzrostu... we fraku... kto to taki?

M A R Y A.

To Dobczyński, mamó.

A N N A.

Jaki Dobczyński... Tobie się zawsze coś wyobraża... To zupełnie kto inny. (*macha chustką*) Héj panie, panie! proszę tu do nas! pędź!

M A R Y A.

Doprawdy mamó, to Dobczyński.

A N N A.

I znowu— aby się tylko sprzeciwić. Mówię ci: że to nie on.

M A R Y A.

A co? a co, mamó? widzisz że to on sam.

ANNA.

A, tak... to Dobczyński, teraz dobrze widzę — na cóż się sprzeczała? (*krzyczy w okno*) Prędzój, prędzój! jeszcze prędzój. No, cóż tam? gdzież oni są? he?... Mówisz pan tak cicho, że nic nie słyszę. — Co? bardzo srogi?... he?... A mąż mój, mąż?... (*odstępując od okna mówi z nieukontentowaniem.*) Co za głupiec! niechce nic powiedzieć, dopóki do pokoju nie wéjdzie!

—•••••—

SCENA DRUGA.

CIŻ I DOBCZYŃSKI.

ANNA.

No, powiedz mi pan proszę: czy masz sumienie? Ja w nim jednym całą ufność pokładałam, jako w człowieku uczciwym: wszyscy z domu powychodzili i pan za nimi! a ja dotąd od nikogo nic dowiedzieć się nie mogę! nie wstydzisz że się Pan?... ja trzymałam do chrztu jego dwoje dzieci: Walusia i Dorotkę, a pan tak ze mną postępujesz!

DOBCZYŃSKI.

Dalibóg, kumeczko, tak żywo biegłem złożyć ci moją uniżoność, że dotąd tehu złapać nie mogę. Witam pannę Maryannę!

M A R Y A.

Sługa uniżona.

A N N A.

No, i cóż? mów pan prędzej: co, jak, i gdzie?

D O B C Z Y Ń S K I.

Mąż pani, przysłała jej tę karteczkę.

A N N A.

Daj pan, a tenże przyjezdny, kto on jest?
Czy Generał?

D O B C Z Y Ń S K I.

Nie, nie Generał; ale nie ustąpi w niczem
nawet i Generałowi. Człowiek pełen wiadomości
i głębokiej nauki; a jaka uprzejmość!

A N N A.

Więc to ten sam, o którym mojemu mężowi
doniesiono?

D O B C Z Y Ń S K I.

Zupełnie ten sam. Myśmy z panem Bob-
czyńskim najprzód go spotkali.

A N N A.

Mówże pan, mów: co tam, i jak?

D O B C Z Y Ń S K I.

Chwała Bogu, wszystko poszło pomyślnie.
Z początku przyjął pana Antoniego, cokolwiek

surowo: gniewał się, rzucał, mówił że w o-berży wszystko najgorsze, że do męża Pani za nic nie pojedzie, i nie chce siedzieć za niego w turmie; ale później, gdy się przekonał o niewinności Pana Antoniego, i gdy pokrótce z sobą się już rozmówili; natychmiast zmienił swój humor, i Bogu dzięki! wszystko się najlepiej skończyło. Teraz pojechali razem oglądać Szpitale... a to wyznać muszę, mąż pani już myślał, czy czasem nie było na niego, jakiego sekretnego doniesienia; ja sam tak-że cokolwiek się przestraszyłem.

ANNA.

A to czego? przecież pan nie służysz.

DOBCZYŃSKI.

Ot tak — widzisz pani, kiedy kto z ważnych figur mówi, to człowieka jakiś strach przechodzi.

ANNA.

No, jakże?... to wszystko nic. Powiedz pan jak on wygląda, ładny czy brzydki, młody czy stary?

DOBCZYŃSKI.

Młody, młody mężczyzna. tak około lat dwudziestu trzech nie więcej; a mówi zupeł-

nie jak stary. — I owszem, powiada, z największym ukontentowaniem, ja pojedę wszędzie, i tu, i tam... (*macha rękami*) To bardzo chwalebne! Ja, powjada, lubię coś przeczytać, napisać; ale to ciemne mieszkanie powiada, nie dozwala mi tém się zająć.

ANNA.

Jakże on wygląda? blondyn, czy brunet?

DOBCZYŃSKI.

Nie, szatyn; a oko tak bystre, jak żywe srebro: nawskróś przenikające.

ANNA.

Zobaczmy co mój mąż pisze w tej karteczce. (*Czyta*) „Spieszę zawiadomić ciebie duszko, że położenie moje było bardzo smutne; ale pokładam ufność w miłosierdziu Bóżyym... za dwa solone ogurki, przytém pół porcyi kawioru, rubel srebrem jeden i kopiejek 25“... (*zastanawia się*) Nic nie rozumiem; co on tu wspomina o jakichś solonych ogurkach i kawiorze?

DOBCZYŃSKI.

A, to pan Antoni przez prędkość, w niedostatku czystego papieru, napisał na jakimś rejestrze.

ANNA.

Tak, w istocie! (*czyta dalej*) „Ale pokła-
 „dam ufność w miłosierdziu Bożem, że wszy-
 „s ko najlepiej się skończy. Przygotuj co
 „prędzej pokój dla naszego zacnego gościa;
 „ten, z żółtém obiciem. — Na obiad nie rób
 „więcej jak zwykle, bo będziem śniadać w Szpi-
 „talu u pana Ziemeniki. Wina zaś każ wzię-
 „ć przynieść — powiedź kupcowi Abduli-
 „nowi żeby przysłał najlepszego, inaczej cały
 „jego sklep przeryję. Całując duszko, twoje
 „rączki, zostają na zawsze kochającym cię
 „małżonkiem. Antoni Skwoźnik - Dmucha-
 „nowski, Horodniczy“... (*mówi*) Ah! mój
 Boże! trzeba zatém śpieszyć! Ej! jest tam kto?
 Michałek!

DOBCZYŃSKI (*biegnie do drzwi i woła*)

Michałek, Michałek! Michałek!! (*Micha-
 łek wchodzi*).

ANNA (*do Michałka*.)

Słuchaj; pójdziesz do kupca Abdulina...
 Czekaj, dam ci karteczkę. (*Siada do stołu i
 pisząc mówi*) Oddasz ją kuczerowi Sidorowi,
 ażeby z nią poszedł do kupca Abdulina po wi-
 no. Ty zaś wracaj natychmiast i uprzątnij
 co żywo pokój dla przyjezdnego gościa. Po-
 stawisz w nim łóżko, myjnicę i etc.

DOBCZYŃSKI.

A ja pani Horodniczyno, pobiegnę zobaczyć, jak tam idzie rewizya,

ANNA.

Idź kumeczku, idź, niechcę cię zatrzymywać.

SCENA TRZECIA.

ANNA I MARYA.

A my moja córko, zajmijmy się teraz naszą toaletą, Jest to modny kawaler, przybywa ze stolicy; broń Boże by nas wyśmiał: tobie najprzyczwojciej będzie wziąć błękitną suknię z wążkami falbanami.

MARYA.

Ei, mamó, błękitną! ona mi się wcale nie podoba... panna Sędzianka, ciągle chodzi w błękitkie; córka pana Ziemeniki także. Nie, lepiej włożę tę z kwiatami.

ANNA.

Z kwiatami!... dobrze mówisz, to będzie daleko lepiej, bo ja chcę wziąć paliową... bardzo lubię kolor paliowy.

M A R Y A.

Ah! mamó! paliowy kolor tobie nie do twarzy!

A N N A.

Co, nie do twarzy?

M A R Y A.

Jak mamę kocham, nie do twarzy — do tego koloru, trzeba mieć oczy ciemne.

A N N A.

A to dobrze! alboż moje nie ciemne? prawdziwe ciemne. Ot! pleciesz sama nie wiesz co. Nie ciemne! jakże mogą być nie ciemne, kiedy nasza kabalarka kładnie mię w trefowej damie.

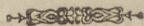
M A R Y A.

Ah, mama bardziej na czerwioną damę wygląda.

A N N A.

Bajki, prawdziwe bajki! Ja nigdy czerwioną damą nie byłam! (*odchodzi spiesznie z Maryą i mówi za Sceną*) Jak można to nawet do głowy przypuścić! czerwioną damą! ha, ha, ha! niewiem dla czego? (*po ich odejściu, drzwi boczne się otwierają, a z nich Michalek wymiata śmiecie. Józef wychodzi ze*

drzwi środkowych niosąc na głowie walizkę).



SCENA CZWARTA.

MICHAŁEK I JÓZEF.

A gdzie mam nieść?

MICHAŁEK.

Tutaj, Staruszk, tutaj.

JÓZEF.

Poczekaj, niech wprzód odetchnę. Ah to nędzne życie! kiedy pusty żołądek, to wszystko zdaje się być ciężkiem.

MICHAŁEK.

A co Staruszk: czy Generał prędko do nas zawita?

JÓZEF.

Jaki Generał?

MICHAŁEK.

A twój Pan?

JÓZEF.

Mój pan? co on za Generał?

MICHAŁEK.

Cóż, może nie Generał?

JÓZEF.

Generał, ale nie z tych Generałów.

MICHAŁEK.

Czy to więcej, czy mniej od prawdziwego Generała?

JÓZEF.

Więcej!

MICHAŁEK.

Widzisz no go! — To to u nas będzie bieganina.

JÓZEF.

Słuchaj no, mały: jak uważam jesteś zwinny chłopak, postaraj się tam cokolwiek przekąsić.

MICHAŁEK.

Dla was Staruszkę, jeszcze nie nie gotowe. Prosty potraw Wasan jeść nie będziesz. Ale jak pan Generał siądzie do stołu, to i dla Wasana dadzą toż samo jedzenie.

JÓZEF.

No, to dobrze — a z prostych potraw, co tam macie gotowego?

MICHAŁEK.

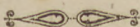
Barszcz, kasza, pirogi.

JÓZEF.

Dawaj ich tutaj! nie to: zrepetujemy gładko. No, pomóż mi zanieść walizkę.— Co widzē? tu jest drugi wychód?

MICHAŁEK.

Tak jest, *(oba wynoszą walizę w boczne drzwi)*.



SCENA PIĄTA.

(Kwartalni otwierają obie połowy drzwi środkowych — CHLESTAKOW, wchodzi — za nim HORODNICZY, CHŁOPÓW — dalej ZIEMLENIKA, DOBCZYŃSKI i BOBCZYŃSKI z plastrem na nosie; HORODNICZY pokazuje Kwartalnym leżącą na ziemi bumażkę, którzy biegną ją podjąć popychając jeden drugiego).

CHLESTAKOW.

Piękne zakłady. Mnie się to bardzo podoba, że tu u Panów pokazują podróżnym wszystkie osobliwości miasta. W innych miejscach nie mi nie pokazywano.

HORODNICZY.

Ośmielam się namienić panu, że w innych miejscach, naczelnicy miasta i urzędnicy więcej dbają o swą własną korzyść; a tu, praw-

dę mówiąc, niema innych zamiarów nad ten, ażeby dobrym porządkiem i troskliwością, na siebie uwagę zwierzchności.

CHLESTAKOW.

Sniadanie również było wyborne. Czy u panów każdodziennie bywają podobne przekąski?

HORODNICZY.

Nie, sporządzono je umyślnie dla tak zacnego i przyjemnego gościa.

CHLESTAKOW.

Bardzo dziękuję! Wina także wyśmienite; nie spodziewałem się, aby w tak małym miasteczku, można je było znaleźć. Ale, ale, a jak się nazywa ta ryba, którąśmy z takim apetytem zajadali.

ZIEMLENIKA.

Sterla.

CHLESTAKOW.

A bardzo smaczna; dawno już takięj nie jadłem. Ale gdzieżeśmy to śniadali? zdaje się że w Szpitalu.

ZIEMLENIKA.

Tak jest.

CHLESTAKOW.

Pamiętam, pamiętam — Tam stały łóżka.

A chorzy to zapewne wyzdrowieli? bo ich było bardzo mało.

ZIEMLENIKA.

Dziesięciu nie więcej pozostało; reszta wszyscy wyzdrowieli. Taki jest tu zwyczaj i porządek. Odtąd jak objąłem nadzór nad tutejszemi Szpitalami, może to Panu okaże się dziwném, wszyscy prędko wyzdrowiają jak mu chy. Chory zaledwie zdąży wejść do Łazaretu, jużci i zdrowiuteńki; nie tyle od lekarstwa, jak przez regularność i dobre utrzymanie.

HORODNICZY.

A od czegoż byłby, kłopotliwy i zbyt trudny obowiązek naczelnika miasta! — Stosy są różnych dzieł, tyjących się samego porządku, zabudowania, oczyszczania, reperacyi, przerabiania . . . słowem najrozumniejszy człowiek, musiałby tu zgłupieć — jednakże dzięki Bogu, wszystko idzie jak należy. Inny Horodniczy, bez wątpienia, dbałby tylko o swoje wygody; a ja czy powierysz Pan, nawet leżąc w łóżku, wszystko myślę: o Boże, mój Boże! jakby to, lub owo urządzić, ażeby zwierzchność widziała moję gorliwość i była ze mnie zadowoloną . . . Czy czeka mię za to jaka nagroda lub nie oto się nie troszczę; abym tylko był spokojny w du-

szy i nie miał nic na sumieniu. Kiedy moje miasto dobrze uporządkowane, ulice wymiecione, aresztanci dobrze utrzymani, pijanych mało... wtenczas jestem najszczęśliwszy, i nie dbam o żadne zaszczyty — Wprawdzie one nie co pociągają, łechcą; ale przeciwko uczciwości i dobroczynieniu wszystko jest prochem i marnością.

ZIEMLENIKA (*n. s.*)

O! hultaj jak rozprawia! trzebaż mieć tak wyprawny język!

CHLESTAKOW.

Tak, i ja lubię czasem rozumować i filozofować: kiedy niekiedy prozą, kiedy niekiedy wierszem przebąknąć.

BOBCZYŃSKI (*do Dobczyńskiego.*)

Słusznie i sprawiedliwie, panie Piotrze. Takie uwagi!... widać, że posiada głęboką edukacją.

CHLESTAKOW.

Powiedcież mi panowie proszę, czy nie ma tu u was takich towarzystw, gdzieby można było... naprzykład, pograć w karty.

HORODNICZY (*n. s.*)

Ehe! ruzumiem, wiem do czego pijesz!

(*głośno*) a! Boże uchronaj! nikt nawet nie słyszał o podobnych towarzystwach. Ja kart nigdy i w rękę nie biorę; nie wiem jakie są gry kartowe — nie mogę nawet patrzeć na nie z obojętnością: a jeżeli przypadkiem, zdarzy mi się spostrzedz jakiego dzwonkowego króla, lub coś podobnego, to taki wstręt mnie ogarnie, że mimowoli odwracam oczy i wychodzę. Zdarzyło się raz, że bawiąc dzieci, wystroiłem im domek z kart, to przez całą noc śniły mi się te przekłete obrazki. Pan Bóg z niemi nie wiem jak można, tak drogi czas przy kartach przepędzać.

CHŁOPOW (*n. s.*)

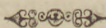
To łotr! a wczoraj u mnie sto rubli wyponiterował.

HORODNICZY.

Nie lepiejże te chwile dla dobra kraju poświęcić.

CHLESTAKOW.

Nie, źle pan mówisz. To od tego jak kto gra. Ma się rozumieć, jeśli kto zabastuje wówczas, kiedy powinien grać na trzy rogi, to... Nie; gra w karty czasami jest nie odbicie potrzebną, a nawet i bardzo pożyteczną.



SCENA SZÓSTA.

CIŻ — ANNA i MARYA.

HORODNICZY.

Ośmielam się przedstawić panu moją familiją: żonę i córkę.

CHLESTAKOW (*klaniając się.*)

Jakże jestem szczęśliwy, że mam tę przyjemność panie oglądać.

ANNA.

Wielki to jest zaszczyt dla nas, mieć w naszym domu tak zacnego i dostojnego gościa.

CHLESTAKOW.

Ah! Pani! ja to raczej winienem...

ANNA.

Proszę pana siadać.

CHLESTAKOW.

Przy pani stać, już jest wielkiem szczęściem; wreszcie kiedy Pani Dobrodziejka chcesz tego koniecznie, więc siadam. Jakże jestem szczęśliwy, że nakoniec siedzę obok Pani.

ANNA.

Nigdy się nieośmielę, brać to na moje conto. — Ja myślę, że wyjazd ze Stolicy, musiał panu stać się bardzo nieprzyjemnym.

CHLESTAKOW.

Nadzwyczaj był nieprzyjemnym. Przywykły żyć na wielkim świecie, używać stołecznych rokoszy, i nagle wyrzec się wszystkiego dla jakiegoś tam podróży... gdzie nie spotkało się, ani jednej figury do ludzi podobnej, z którąby można było pomówić rozsądnie; — Pisarze pocztowi są prostaki, bez żadnej edukacji... I gdyby nie ten szczęśliwy wypadek, który mi nastąpił tak miłą znajomość, (*spoglądając czule na Annę*) nie poznałbym sam siebie.

ANNA.

W samą rzecz, pan się musisz nudzić.

CHLESTAKOW.

Jednakże ta chwila jest mi nader przyjemną.

ANNA.

Za wiele zaszczytu. Nie zasługuję na to.

CHLESTAKOW.

O zasługujesz Pani i bardzo.

ANNA.

Jestem wieśniaczką...

CHLESTAKOW.

Tak, w istocie; ale i wieś ma swoje przyjemności: strumyki, gaiki, chatki, zefiry!...
Ja pani, służę w Petersburgu bardzo szczę-

śliwie. Prawda, że nie mam znaczącej rangi: nie większą nad kolleskiego Assesora, nawet cokolwiek mniej; ale za to zna mię cała kancellaryja, i Naczelnik mojego wydziału; żyje ze mną w najściślszej i najpoufalszej przyjaźni. Często klepiąc po mojem ramieniu rzeknie: „przychodź bracie do mnie na obiad.“ — Za to muszę wyznać, mam wiele pracy. Państwo może sądzicie, że ja należę do rzędu tych kancellistów, którzy tylko przepisują sprawy z jednego arkusza na drugi, — o nie, i bardzo nie! ja tylko przyszedłszy do biura, mówię: to trzeba tak, to trzeba siak, to znowu tak — a natychmiast kopista piórem tr... tr... i wszystko skończono. Nawet i krzesło stoi dla mnie osobne jakby dla naczelnika stołu, proszę mi wierzyć. Stróż nawet, spotykając mnie ze szczotką jeszcze na wscho-
dach: pozwól pan, mów, ja mu buty oczyszczę!
(do Horodniczego) Czemuż panowie stoicie?
siadajcie proszę.

HORODNICZY.

Można nieco postać.

ZIEMLENIKA.

Postoimy.

CHEŁOPOW.

Niech się pan nie trzodzi.

} Razem.

CHLESTAKOW.

Proszę siedzieć. (*Horodniczy i inni siadają.*) Otóż tak, to dobrze. — Nikt z urzędników modnieć się nie ubiera, nademnie. Jeżeli sprawiam garnitur, to ręczę, że najmniej trzysta rubli kosztuje. Gdy wyjadę na ulicę, wszyscy wskazują na mnie: „to on, to Chlestaków“ a raz jednego gdym szedł piechotą, wzięli mnie za Tureckiego posła. I co najdziwniejsza, że żołnierze nawet, wyskoczywszy z haubtwachtu, sprezentowali broń przedemną. Później dopiero Oficer, który mi był dobrze znajomy, powiedział: No, bracie, myśmy cię wzięli za Tureckiego posła.

ANNA.

No, proszę!

CHLESTAKOW.

Już to, mnie wszędzie znają. Bywam na wszystkich zabawach i teatrach; jestem znany z pięknymi Aktorkami. Zajmuję się także i literaturą. Piszę dla teatru różne wodewile i dość szczęśliwie mi się udają. Z autorami często się widuję, a nawet niektórzy z nich bywają u mnie na objadach. Mieszkam przepysnie: trzy pokoje cudnie ume-

lowane, okna wychodzą na ulicę — 800 rub. za nie płacę.

A N N A.

Więc pan i dzieła wydajesz? Jakto jest przyjemnie być autorem. Pan zapewne i w dziennikach umieszczasz swoje prace.

C H L E S T A K O W.

Tak jest, umieszczam nawet i w dziennikach. Wiele jest dzieł teatralnych mojego własnego układu: na przykład Wesele Figara, Ugolino, Fenella, Robert Djabeł i t. p. a wszystkie z prawdziwego wydarzenia — mówiąc szczerze, niechciało mi się tém zajmować, ale Dyrektorie Teatrów prosili: „bądź łaskaw braciszku, napisz co nowego!”, — Myślę sobie; bądź łaskaw, braciszku!... natychmiast więc siadam, biorę pióro w rękę i przez jeden wieczór już wszystko gotowe. Umieszczam także moje prace w Moskiewskim telegrafie i w bibliotece do czytania. Wszystkie te artykuły co tam wychodziły pod imieniem Brambeusa, są moje własne.

A N N A.

No proszę cię, to pan jesteś owym Brambeusem?

CHLESTAKOW.

Tak, ja. Smirdyn płaci mi 25,000 rocznie. A jeśli mam prawdę powiedzieć, to wszystkie dzienniki bez wyjątku, są przezemnie wydawane.

A N N A.

To zapewne i Jerzy Miłostawski jest pańskiego pióra?

CHLESTAKOW.

Tak; to także ja napisałem.

A N N A.

Zarazem się tego domyślała.

M A R Y A.

Ah mamó, tam przecież pisze wyraźnie że autorem tego dzieła jest P. Zagoskin.

A N N A.

I znowu; wiedziałam o tém, że będziesz się sprzeczać.

CHLESTAKOW.

Tak, tak, w samój rzeczy, dzieło to przez Zagoskina napisane; ale drugi Jerzy Miłostawski, mojej jest roboty.

A N N A.

To niezawodnie ja pańskie dzieło czytałam. Ah jakże pięknie napisane!

CHLESTAKOW.

Ba! mnie przecież Smirdyn daje co rok 40.000. Z tego zrobiłem już znaczną sytuacją: mam dwa domy w Petersburgu, które gdybyście panie widziały, wzięłybyście je niezawodnie za pałace. Kazałem architektowi, ażeby dał najpiękniejszą powierzchowność. Wszędzie kolumny, fontany, kaskady... Najmując podobne mieszkanie, musiałbym za nie zapłacić najmniej 20.000 rocznie. Często sam wydaję wieczory i bale.

A N N A.

Wyobrażam sobie, z jakim to gustem i wspaniałością, muszą się odbywać bale w stolicy?

CHLESTAKOW.

O! bale tam są wytworne! na przykład: na deser podają pasztet tak gorący, że do ust wziąć go nie można, a wewnątrz chłodna galareta i najzimniejsze lody. Ja zawsze bywam na balach: złożyliśmy nawet osobnego wista. Mój Minister, posłowie: Francuzki, Angielski, Niemiecki, i ja. Jeżeli czasem zabawię się gdziekolwiek, to już moi posłowie mówią: „gdzież to nasz Chlestackow!” a gdy grę rozpoczniem, to i końca jój nie ma Za-

wsze tak się sfatyguję, że przybywszy do domu po wschodach aż na czwarte piętro, zrzućcam płaszcz co żywo, oddaję go kucharce, mówiąc: na Krystyno, i kładnę się spać; a pot tak się leje jak z beczki! — Nazajutrz nie mając najmniejszej chęci pójść do Bióra, mówię do mojego Józefa: nie pójde. Wreszcie tak się tylko mówi, bo moja czynność najwięcej w domu się odbywa — wszyscy urzędnicy do mnie przychodzą. Nawet ciekawą jest rzeczą widzieć, kiedy się czasem przebudzę, i słyszę jak w przedpokoju Hrabjowie i Xiążęta, szepcząc mówią do siebie: Sz... sz... sz... Nie ma co robić, trzeba wyjść do nich; bo bywa zdarzenie, nie mówię zawsze, ale czasem, że zajdzie do mnie nawet sam Minister z jakim ważnym interesem. — (*Horodniczy i inni wstają bojaźliwie ze swoich krzesel.*) Na pakietach do mnie adressowanych piszą: Jaśnie Wielmożnemu. A razu jednego zawiadywałem całym Departamentem, proszę mi wierzyć: był to dziwaczny wypadek: Dyrektor dla słabości zdrowia wyjechał do swego majątku, wszyscy myśleli nad tém: komuby można było powierzyć tak ważne zastępstwo? kto do tego zdolniejszy i sposobniejszy? ... wielu Ge-

nerałów ubiegało się o to; ale każdy z nich przyszedł, zajął, i poszedł. Na pozor zdaje się to łatwo; ale jak się rozpatrzysz, djabła tam! trudno, i bardzo trudno — nareszcie widząc, że nie ma komu się zająć; nasz Chlestakow mówi, on tylko jeden może to wykonać. I natychmiast rozesłano po mnie z piętnastu kuryerów: „Alexandrze Iwanowiczu znuń się weź w zarząd Departament.“ Mnie mówiąc prawdę, nie bardzo to było po duszy; chciałem odmówić; ale myślę sobie, dójdzie to do Cesarza, może mnie za to wielka nieprzyjemność spotkać; nie chciałem przytém zepsuć mojego służbowego opisu. Dobrze panowie, mówię, ja przyjmuję ten obowiązek, tylko że u mnie wszystko powinno iść jak z płatka, czuj duch! ani mru, mru! — I w istocie, bywało, jak tylko przechodzę, to moi panowie urzędnicy, wszyscy ot tak, drżą jak we febrze.— (*Horodniczy i inni trzęsą się od strachu.*) Ja i w najwyższej Radzie przyduję. A na Cesarskie pokoje, jeśli w nich jaki bal się wydarzy, jestem zawsze zapraszany. Mnie nawet chciano zrobić Vice Kanclerzem, (*ziewa na całe gardło*) o czém to ja mówiłem?

HORODNICZY (*zbliża się do niego drżąc całym kor-
pussem i siląc się wymówić*).

Ja... ja... ja... jaś...

CHLESTAKOW.

Cóż takiego? co pan chcesz mówić?

HORODNICZY.

Ja... ja... ja... jaś...

CHLESTAKOW.

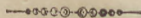
Nic nie rozumiem.

HORODNICZY.

Ja... ja... ja... śnie Wielmożny!... Pa-
nie! czy nie raczysz pan może, cokolwiek od-
począć... oto jego pokój i wszystko co potrzeba.

CHLESTAKOW.

Odпочać? i owszem, i owszem, jestem
gotów. (*wstaje*) Żegnam Panie!... W istocie
spać mi się chce ogromnie. — Sniadanie było
przewyborne, (*wchodzi do bocznego pokoju—
za nim Horodniczy*).



SCENA SIÓDMA.

CIŻ oprócz CHLESTAKOWA I HO-
RODNICZEGO.

BOBCZYŃSKI (*do Dobczyńskiego*.)

A co, panie Pietrze... to... ważny czło-

wiek. Nie rozmawiałem nigdy z tak znaczną figurą, ze strachu o mal nie umarłem. Jak myślisz panie Pietrze, kto on taki?

DOBCZYŃSKI.

Mnie się zdaje, czy tylko nie Generał.

BOBCZYŃSKI.

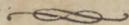
A ja sędzę, że Generał nie wart jego podeszwy! a jeśli on jest Generałem, to zapewne sam Generalissimus. Nawet bywa na Cesarskich pokojach! pójdź, panie Pietrze, opowiemy to Liapkinowi i Korobkinie. Oni jeszcze nic o tém nie wiedzą. Żegnam panią Horodniczynę.

DOBCZYŃSKI.

Bywaj zdrowa, Kumeczko!

ZIEMLENIKA *(do Chłopowa)*.

Taki wielki człowiek; a my jeszcze nie w mundurach! — W tak młodym wieku i tak ważną czynność odbywa. Ah mój Boże! żeby tylko czego nieoberwać. — Kłaniam! *(odchodzi za nim Chłopow.*



SCENA ÓSMA.

ANNA I MARYA

ANNA.

Co za przyjemny mężczyzna!

MARYA.

Ach! milutki!

ANNA.

A jakie delikatne obejście! zaraz poznać można, że był w Stolicy. Co za maniera, jakie ruchy pociągające, ah! aż miło!... Namiętnie lubię młodych mężczyzn, do zapamiętałości!... Jednakże musiałam mu się podobać, bo często na mnie spoglądał.

MARYA.

Ah! mamó! to na mnie.

ANNA.

Proszę zaniechać swoich głupstw i sporów! tu one wcale nie w miejscu.

MARYA.

Nie, mamó; do prawdy na mnie spozierał.

ANNA.

Jeszcze!... a ja mówię: że nie i dosyć. Czego on miał patrzeć na ciebie? i kiedy?

M A R Y A.

Jak mamę kocham! ciągle na mnie patrzył. — Kiedy zaczął mówić o literaturze, to rzucił na mnie okiem; kiedy opowiadał o wiście z posłami, także na mnie spójrzył.

A N N A.

No, być może, raz jeden tylko... i to dla tego jedynie, żeś obok mnie siedziała.



SCENA DZIEWIĄTA.

TEŻ I HORODNICZY

HORODNICZY (*wchodząc na palcach*),

Pst!... sza!...

A N N A.

Cóż?

H O R O D N I C Z Y.

Położył się spać. Sprawujcież się spokojnie, żeby go nie przebudzić. Tak jestem odurzony! strach omal mi kości nie wytrzymał — tak ważnego urzędnika, nigdy jeszcze nie widział. (*w zamyśleniu*) Z Ministrami grywa w karty i bywa na Cezarskich pokojach... Tak, o być może... Im więcej się nad tém zastana-

wiam tém bardziej się przekonywam... Z reszlą djabli go wiedzą, nie mogę pojąć co się dzieje w mojej głowie. Zdało mi się, jakbym stał na jakiejś wielkiej dzwonicy, gdzie chcieli mnie powiesić.

A N N A.

Ja zaś żadnej bojaźni nieuczułam; widziałam w nim tylko edukowanego, światowego i dobrego tonu młodzieńca — a o jego randze nie mam potrzeby wiedzieć.

H O R O D N I C Z Y.

No, już to wy kobiety, zawsze tylko: tra la, la. — Ty moja duszko, tak się z nim obezšlaś, jakby z jakim Dobeżyńskim.

A N N A.

Już co w tém, to ci radzę być spokojnym. Wiemy dobrze jak nam należy obchodzić się z męczyznami, (*spogląda na córkę*).

H O R O D N I C Z Y.

E, co z wami gadać!... Jednakże to rzecz szczególna! dotąd ze strachu przyjść do siebie nie mogę.— (*otwiera drzwi środkowe i mówi przez nie*) Michatek, zawołaj Kwartalnych Swistunowa i Dzierżymordę — oni tu gdzieś nie daleko za bramą być muszą. (*po matěj pauzie mówi*) Dziwaczny porządek teraz na

świecie: ludzie tak delikatni, przemądrzy i przedójrzali; że trudno jest człowieka, różnić od człowieka — Jednakże, jak on się starannie ukrywał, a w końcu nie mógł dotrzymać, wyszedł z charakteru i wszystko wyznał. Znać, że młokos!



SCENA DZIESIĄTA.

CIŻ I JÓZEF (z gabinetu.)

(*Wszyscy biegną na jego spotkanie i kiwają palcami.*)

ANNA (do Józefa).

Zbliź się, mój kochanku.

HORODNICZY.

Pst... sza! — a cóż, spi?

JÓZEF.

Nie jeszcze, cokolwiek się przeciąga.

A N N A.

Słuchajno... jak ci imię?

JÓZEF.

Józef, Pani.

HORODNICZY (do kobiet.)

Przestańcie! (do Józefa) No, i cóż mój przyjacielu, czy dobrze podjadłeś?

JÓZEF.

Dobrze — najpokorniej dziękuję, dobrze podjadłem.

ANNA.

Powiedz mi mój Józefie: ja myślę, że do twego pana wiele zajędza Grafów i Xiążąt?

JOZEF (*n. s.*)

A co tu gadać?... kiedy teraz dali dobry objad, to później dadzą jeszcze lepszy. (*głośno*)
O! tak, bywają i Grafowie.

MARYA.

Ah mój Józefeczku, jaki twój pan przy-
stojny.

ANNA.

Powiedźże mi jeszcze mój kochany Józe-
fie, jak twój pan...

HORODNICZY.

Ale przestańcież już proszę! wy swojemi
głupimi pytaniami, tylko mi przeszkadzacie.
No i cóż, mój przyjacielu?...

ANNA.

Jakiéj jest rangi twój pan?

JÓZEF.

Ranga wiadomo jaka.

HORODNICZY.

Ah, mój Boże! dosyć już, dosyć! nie da cię mi słowa powiedzieć. No cóż przyjacielu, jakże twój pan?... czy jest bardzo srogi? lubi krzyżeć, łąjąc?...

JÓZEF.

Tak, lubi porządek. Chce żeby wszystko było wypełnionò jak należy.

HORODNICZY.

Twoja fizyonomia, bardzo mię zajmuje! ty przyjacielu, musisz być poczciwy człowiek.— No cóż dalej?...

ANNA.

Śłuchajno Józefie, czy twój pan chodzi w mundurze?

HORODNICZY,

Dosyć, mówię! — prawdziwa grzechotka. Tu są rzeczy ważniejsze. Idzie tu o życie człowieka... teraz rozumiecie?... (*do Józefa*) Tak, przyjacielu, ty mi się podobasz. Nie zaszkodzi w drodze wypić herbatki jedną szklankę więcej jak zwykle; teraz cokolwiek za zimno. Otóż masz tu parę rubelków na herbatę.

JOZEF (*przyjmując pieniądze*).

Ah, najpokorniej dziękuję. Daj Boże panu

zdrowie za to, żeś wspomógł biédnego i podróznego człowieka.

HORODNICZY.

Dobrze, dobrze — A cóż przyjacielu? ..

ANNA.

A jakie oczy mianowicie, podobają się twojemu Panu?

MARYA.

Ah Józefie! jaki zgrabny nosek u twojego pana!

HORODNICZY.

Zaczekajcie — pozwólcieź mnie ... (*do Józefa*) Powiedz, zmiłuy się: na co bardziej twój pan obraca swoją uwagę? to jest: co jemu, w drodze najwięcej się podoba?

JÓZEF.

Najlepiej lubi, żeby go dobrze przyjmowano, i do sytości ugaszczano.

HORODNICZY.

Do sytości?

JÓZEF.

Do sytości. — Nawet mnie, swojego poddanego, patrzy, żeby wszystko regularnie doszło. Dalibóg! bywało zajedziemy gdziekol-

wiek, tak zaraz się pyta: „Cóż Józefie, czy dobrze cię ugoszczono?“ Nie bardzo JW. Panie! — „E, powiada mój Józefie; widać że zły gospodarz, kiedy o ludziach nie pamięta. Przypomnij mi o tém, wolnym czasem“... A, myślę sobie, (*machnął ręką*) Bóg z nim! ja człowiek prosty!

HORODNICZY.

Dobrze, dobrze, że tak mówisz. — Dałem ci już na herbatkę, tu masz jeszcze i na obwarzanki.

JÓZEF.

Za cóż mnie tak obdarzać, Wielmożny Panie? (*chowa pieniądze*) Chyba już wypiję za pańskie zdrowie.

A N N A.

Przyjdź Józefku, do mnie! także coś dostaniesz.

MARYA.

Józefeczku, drogi! pocałuj twój Pana. (*Słychać w pokoju Chlestakowa nie zbyt głośny kaszel.*)

HORODNICZY.

Pst... sza!... (*podejmuje się na palcach. Cała ta Scena mówi się pół głosem*) Broń Boże, mi zrobicie jakikolwiek szmer... No, idźcie sobie! dosyć już, dosyć!

A N N A.

Pojdź Maryo! jeszcze coś ci powiem o naszym gościu! (*odchodzi z Maryą*).

HORODNICZY.

No, już tam iéj nagada! a tylko idź posłuchaj, to i uszy zatkniesz. (*odwracając się do Józefa*) No, przyjacielu...



SCENA JEDYNASTA.

CIŻ. DIERŻYMORDA I SWISTUNOW.

HORODNICZY (*do Kwartalnych*).

Pst... sza!... E! co za koszlawe niedźwiedzie! stukają butami, jakby kto ze czterdzieści pudów z wozu zrzucał! — Gdzie was djabli noszą?

DZIERŻYMORDA.

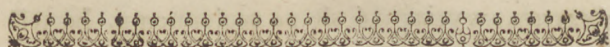
Chodziłem po służbie!... (*czkawka go porywa*).

HORODNICZY.

Sza!... (*zakrywa mu usta*) Kraknął jak wrona! (*przedrzeźniając go*) „Chodziłem po służbie“ A z gęby bucha jak z beczki. (*do Józefa*) No, mój przyjacielu, idź, i przygotuj tam co potrzeba dla twojego pana. Żądaj

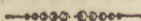
wszystkiego co jest w domu, i czego nie ma. (*Józef odchodzi*) Wy zaś stać mi na wscho-
dach i ani kroku z miejsca! — A nikogo z ob-
cych do domu nie wpuszczając, zwłaszcza kup-
ców! jeżeli tu choć jeden z nich wejdzie
to!... Jak tylko ujrzycie, że, ktokolwiek idzie
z prośbą, a choć i nie z prośbą, ale podobny
będzie do takiego, co chce na mnie podać
prośbę, to prosto w kark, za drzwi! i tak...
go... ładnie!... (*pokazuje nogą*) Rozumie-
cie?... Pst... sza!... cicho!... (*odchodzi
na palcach wnet za Kwartalnymi.*

KONIEC AKTU 3.



A K T 4.

(Pokój ten sam. Świeca na stole.)



SCENA PIERWSZA.

LIAPKIN — ZIEMLENIKA — SZPEKIN —
CHŁOPOW — DOBCZYNSKI I BOBCZYŃ-
SKI (wchodzą na palcach z ostrożnością w peł-
nej formie, w mundurach. — Cała ta scena
odbywa się półgłosem).

LIAPKIN.

Prędzěj, prędzěj panowie! stawajcie w kół-
ko — on zapewne nie zadługo wyjdzie. Otóż
to tak. (*Wszyscy szykują się w półkole*)
Ty panie Pietrze przejdź na tę stronę, a ty
panie Pietrze stań tutaj. (*Oba Piotrowie
przechodzą na palcach*) Tak, dobrze — teraz

wszyscy, wyciągnąć się po wojennemu, bo widzicie, konieczność wymaga tak mu się przedstawić. (*ogląda wszystkich i odchodzi na środek*) A wiecie co, że patrząc z daleka, jest w nas coś wojskowego. (*Słychać w pokoju Chlestakowa, odkrzakiwania i plucie. Urzędnicy się trwożą*).

ZIEMLENIKA.

Widać że się już przebudził.

LIAPKIN.

Strudzony.

SZPEKIN.

Nie ma co mówić, wczoraj dość się wygadał. Jak panowie sądzicie? mnie się zdaje, że z tego wszystkiego co on tu mówił, ledwie jest połowa prawdy.

LIAPKIN.

Gdzie zaś! podhulał nieco i skłamał trochę. Nie jest to żadnym błędem; to się zdarzy każdemu człowiekowi. Za to u niego każdy wyraz jakby odważony, wszystko szło z rozważą. Przypuśćmy nawet że podhulał; ale dla czego, i na co podhulał, to zapewne nie bez celu.

SZPEKIN.

Dobrze, żeśmy dla niego ze śniadaniem

wystąpili — Chleba i soli już skosztował, więc nam szkodzić nie zechce; nawet sam się już z tém wygadał, o czém z początku mówić nie chciał.

ZIEMLENIKA.

Jednak radziłbym panowie, nie zasypiać i nie trzymać rąk w kieszeni. A jeżeli on teraz przespawszy się, zacznie znowu po swojemu; cóż wtenczas będzie? Ja się obawiam. Nasz Horodniczy, o! to stary filut: on go już musiał sam na sam, czémkolwiek zaspokoić; tylko nie nam nie mówi.

CHEOPOW.

A co panowie myślicie — to wszystko być może.

LIAPKIN.

Wiecież co, a gdyby mu tak... (*pokazuje gestami*).

ZIEMLENIKA.

Podsunać, co?

LIAPKIN.

Tak.

SZPEKIN.

Djabelnie niebezpieczno.

ZIEMLENIKA.

A jakże to zrobić?

LIAPKIN.

Ot tak najlepiej; zrobić wprost składkę, w guście podarku, lub ofiary na rzecz jakiego towarzystwa; jego zaś prosić, ażeby przyjął na siebie obowiązek... Ale i to, niech djabli wezmą; niebezpieczno!

SZPEKIN.

Lepiej po prostu, oto tak: że niby przez pocztę zostały tu nadesłane pieniądze, nie wiadomo dla kogo; a ponieważ właściciela nie znaleziono: więc go się zapytać, czy czasem te pieniądze nie do niego należą.

ZIEMLENIKA.

To, to, to! da on panu za to: „nie wiadomo dla kogo nadesłane“ Patrzaj, żeby cię tylko przez pocztę, nie odesłał gdzieś daleko.

LIAPKIN.

Najlepiej tak będzie: że niby w naszym mieście, umarł bogaty kupiec zostawiwszy testament, a po testamencie...

ZIEMLENIKA.

No i cóż po testamencie?

LIAPKIN.

Koma, czyli przecinek. Zacząłem był tak gładko, a końca ani weź znaleźć.

ZIEMLENIKA.

Płynął, płynął, a przy brzegu utonął. Nie, takie rzeczy nie w taki sposób działać się zwykły. Powiedzcież mi panowie, po co tu przybyliśmy z całym naszym szwadronem? a to ty, panie Liapkin, wymyśliłeś: ażeby się po wojennemu prezentować. Moje zdanie, przedstawić się każdemu po osobno, tak na cztery oczy, i tego... co tam będzie potrzeba; żeby nawet uszy nie słyszały. Otóż to tak, w porządnym towarzystwie, zawsze się robi!... a gdy już jeden wprzód poprobuje, to później wszystkim nam będzie wiadomo, jak należy postąpić.

SZPEKIN.

Ma słuszość!

LIAPKIN.

I owszem, spróbujmy. Tobie panie Ziemenika, ponieważ w twoim Szpitalu, nasz dostojny Wizytator, już chleba zakosztował; tobie mówię, najwłaściwiej będzie naprzd się sprezentować.

ZIEMLENIKA.

Dla czegoż mnie? ja myślę czy nie będzie przyzwoiciiej, ażeby pan Szpekin, jako Poczmejster.

SZPEKIN.

Na cóż ja? nie równie lepiej panu Liapkinowi, jako Sędziemu pokoju.

LIAPKIN.

Liapkinowi, Liapkinowi! wszyscy na Liapkina! czemuż nie panu Chłopowemu, jako kształcicielowi młodzieży?

CHŁOPOW.

Nie, panowie, ja nie mogę. Jestem tak delikatnie wychowany, że gdy rozmawia ze mną osoba, choć jedną rangą wyższa ode mnie, to już moja dusza na ramieniu, a język jakby w pantoflach. Nie, panowie, uwolnijcie mnie od tego, na honor uwolnijcie.

ZIEMLENIKA.

W saméj rzeczy, z której bądź strony uważając, nikomu nie jest tak zręcznie wzięść się za to, jak tobie panie Liapkin. U pana za każdym słowem, to Cynceron siedzi na języku.

LIAPKIN.

Co pan znowu zmyślił jakiegoś tam Cyncerona!... że czasem zawłokłszy się, gdzie rozprawiam o kłótniach domowych, albo o jakim gończém szczeniátku...

WSZYSCY (*przystępując do niego.*)

I o babilońskiej wieży!... nie, panie Sędzio! nie opuszczaj nas, bądź naszym ojcem! nie, panie Liapkin!...

LIAPKIN.

Odczepcie się, panowie!

(*W tejże chwili słychać stapanie i kaszlanie w pokoju Chlestakowa. Wszyscy razem śpieszą na wyścigi do drzwi środkowych, chcąc wyjść i przyciskają jeden drugiego.*)

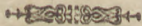
BOBCZYŃSKI (*krzycząc półgłosem.*)

Oj! panie Pietrze, panie Pietrze! nastąpiłeś mi na nogę.

ZIEMLENIKA (*także.*)

Odstąpcie panowie, pozwólcież choć duszy wyjść z grzesznego ciała: na miazgę mię ścisnęli!

(*Wszyscy wydają przerywane okrzyki*
Aj, aj! *w końcu wypierają się przez drzwi środkowe.*)

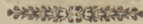


SCENA DRUGA.

CHLESTAKOW (*sam.*)

(*Wychodzi ze swego pokoju z zaspane-
mi oczami.*)

Zdaje się, że chrapnąłem trochę. Skąd oni nabrali tyle materaców i pierzyń?... Róskosznie spałem, ażem się spocił. Musiano jednakże na wczorajszym śniadaniu, podsunąć mi coś bardzo mocnego sznapsa, lub coś podobnego, bo dotychczas w głowie mam jakieś stukanie. — No, jak uważam, to z przyjemnością czas tu pędzić można. Bardzo to lubię! to po mojemu! Na tym punkcie jestem dziwakiem — nie wiem jak drugim, ale mnie takie życie, niezmiernie się podoba. Nie potrzebuję nic więcej, jak żeby na mnie zwracano uwagę, starano się ugościć; i żeby to wszystko czyniono ze szczerością, otwartością, jak mówią od serca, nie zaś z jakiegokolwiek interesu. — Ale córeczka Horodniczego wcale nie szpetna; no i mamunia także, możnaby jeszcze... Niewiem dla czego, ale szczerze mówię, że podobne życie bardzo mi się podoba.



SCENA TRZECIA.

CHLESTAKOW I LIAPKIN.

LIAPKIN (*wchodzi zatrzymuje się i mówi do siebie.*)

Boże! wspieraj mnie! dozwól mi wyjść stąd w całości!— Kolana moje nieustannie dygocą. (*Przystępuje i mówi głośno, a wyciągnąwszy się przytrzymuje ręką szpadę*) Mam honor przedstawić się: Sędzia tućjszego powiatowego Sądu, kolleski Assesor, Liapkin — Tiapkin.

CHLESTAKOW.

Proszę siedzieć. To pan jesteś Sędzią.

LIAPKIN.

Zośmiolet afirmatiw zostałem wybrany na trzecie trijenium z woli Dworzaństwa; i do tychczas spełniam ten obowiązek z całą gorliwością.

CHLESTAKOW.

A czy korzystna to służba?

LIAPKIN.

Za dziewięć lat, przedstawiony zostałem do krzyża S. Włodzimierza 4 tej klasy, z potwierdzenia samejże zwierzchności.

CHLESTAKOW.

Ja bardzo lubię krzyż Włodzimierza. An-

ny 3-ciój klasy nie tyle mi się podoba. Za nadto już, jakto powiedzieć, pospolicity: każdy go nosi, nawet naczelnicy Stołu.

LIAPKIN (*n. s.*)

No, sposób już wymyśliłem — ale Bóg wie, czy mi się uda! Serce moje kołacze! ułożyłem sobie: rzucić nieznaczenie na ziemię, niby to niechęący; a potem się schylić dla podjęcia. Ale djabli wiedzą, jak tego dokazać. Aj!... (*gubi paczek Assygnat na ziemię*) już upadły... Boże! ratuj mię!... (*schyla się podjąć pieniądze.*)

CHLESTAKOW.

A co tam?... (*przysuwa cokolwiek krzesło.*)

LIAPKIN (*n. s. ledwie żywy.*)

O Boże! jużem zgubiony! już jestem pod sądem! i wóz już po mnie zajechał!

CHLESTAKOW.

Co to pan zgubiłeś?

LIAPKIN.

Jakieś tu assygnacye upadły; rozumiałem, czy nie z pańskiego stołu. (*n. s.*) No, teraz już zginę niezawodnie.

CHLESTAKOW.

Pozwól pan, ja zobaczę — być może, że o-

ne są moje. Ja przez rozrzutność, często gubiłem pieniądze. A zwoszczykowi, to nie raz przez omyłkę, zamiast pięćdziesiątki, złotego pół imperyała dałem.

LIAPKIN.

Ja sądzę, że to są pańskie Assygnaty...
(*n. s.*) No, śmiało, śmiało!

CHLESTAKOW.

Zdaje się, więcej trzystu rubli. Nie wiem prawdziwie... z resztą może to być; nigdy nie liczę moich pieniędzy. A jeśli ich czasem zabraknie, to wszystko jedno — pożycz mi pan te pieniądze, a ja mu one później z wdzięcznością odeszlę.

LIAPKIN.

Zmiłuj się pan! takim przyjęciem można człowieka uszczęśliwić.

CHLESTAKOW.

Najdalej za dwa tygodnie, odeszlę panu z majątku, co do grosza.

LIAPKIN (*wstaje chcąc odejść.*)

Na co to? ja poczekam. Niech się pan nie trudzi. Jeżelibym jeszcze mógł się w czem przysłużyć... to proszę tylko rozkazać.

CHLESTAKOW.

Dobrze, dobrze, pan już wychodzi?

LIAPKIN.

Nie ośmielę się, zabierać panu czasu przeznaczzonego na tak ważne zajęcie.

CHLESTAKOW.

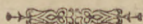
Żegnam pana! wszakże się jeszcze zobaczymy?

LIAPKIN.

Gotów jestem stawić się, za pierwszém rozkazem. (*n. s. odchodząc*) Chwałaż Bogu! nasza wygrana!

CHLESTAKOW (*po jego odejściu*).

Dobry człowiek z tego pana Sędziego.



SCENA CZWARTA.

CHLESTAKOW — SZPEKIN.

SZPEKIN (*wchodzi wyciągnięty przytrzymując szpadę.*)

Mam honor przedstawić się: Pocztmajster, Nadworny Sowiec Szpekin.

CHLESTAKOW.

A, najuniżeniej dziękuję, za łaskawe mnie odwiedzenie. Ja bardzo lubię przyjacielskie

towarzystwa. Proszę siedzieć!— Czy pan ciągle tu mieszkasz?

SZPEKIN.

Tak jest.

CHLESTAKOW.

Podoba mi się tutaj miasteczko. Prawda, że nie bardzo ludne, ale nie to! przecież to nie Stolica. Nie prawdaż, że to nie Stolica?

SZPEKIN.

Istotna prawda.

CHLESTAKOW.

To tylko w Stolicy można żyć bon ton— i nie widać tam tych gęsi prowincjonalnych. Jak się panu zdaje, nie prawdaż?

SZPEKIN.

Tak w istocie! (n. s.) A! on, jak uważam, nie jest dumny; o wszystkiém się rozpytuje.

CHLESTAKOW.

Jednakże i w małym miasteczku żyć szczęśliwie można?

SZPEKIN.

Tak w saméj rzeczy!

CHLESTAKOW.

Według mego zdania, trzeba tylko do tego szczeréj otwartości, dobranego towarzyst-

wa, żeby się szanowało, serdecznie kochało—nie prawdaż?

SZPEKIN.

Bardzo sprawiedliwie.

CHLESTAKOW.

Kontent jestem z tego, żeś pan jednego ze mną zdania. Ja to lubię, to mój charakter. (*zagląda mu w oczy i mówi do siebie*) E, poproszę tego Pocztmajstra, ażeby mi także pożyczył! (*głośno*) Czy wiesz pan, jaki fatalny wypadek zdarzył mi się w tej podróży? wyexpensowałem wszystko, i jestem bez grosza. Nie mógłbyś pan, pożyczyć mi cokolwiek?

SZPEKIN.

Wiele pan rozkaże?

CHLESTAKOW.

Tak z jakich dwieście rubelków; a ja panu jutro z majątku odeszlę.

SZPEKIN.

Natychmiast. (*szuka w kieszeni i wyjmuje assygnaty*).

CHLESTAKOW.

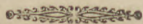
Bardzo dziękuję — trzeba panu wiedzieć, że ja w drodze nic sobie nie żałuję — bo dla czegoż mam sobie żałować. Nie prawdaż?

SZPEKIN.

Istotna prawda. (*wstaje z uszanowaniem*)
 Nie osmielę się dłużej niepokoić pana moją
 przytomnością... muszę się dowiedzieć, czy cza-
 sem nie zaszło co nowego na poczcie.

CHLESTAKOW.

Dobrze— żegnam pana, żegnam! (*po odje-
 ściu Pocztmejsztra, zapala cygaro*) No, Poczt-
 mejster także dobry człowiek. Grzeczny, u-
 służny. Przyznam się, że nadzwyczaj lubię ta-
 kich ludzi, z którymi można jasno się tłu-
 maczyć.



SCENA PIĄTA.

CHLESTAKOW I CHŁOPOW.

(*Który się zaledwie we drzwiach daje wi-
 dzieć — za drzwiami słyhać głos przyttumio-
 ny. „Czego się lękasz.”*)

CHŁOPOW (*wyciągając się nie bez strachu i przytrzy-
 mując szpadę*).

Mam honor przedstawić się: Inspektor
 Szkoły Tytułarny Sowietnik Chłopow.

CHLESTAKOW.

A! zmiłuj się pan! siadaj, siadaj, bardzo

proszę. Czy niechcesz pan cygaraka? (*podaje mu cygaro*).

CHŁOPOW (*n. s.*)

Otóż masz! tegom się nigdy nie spodziewał. Brać, czy nie brać.

CHLESTAKOW.

Bierz pan, bierz — to przewyborne cygaro. Wprawdzie nie takie jak w Petersburgu. Tam, panie paliłem po 25 rubli secina — a takie smaczne, że aż się obliźniesz jak wykurzysz. Oto jest ogień, pal pan (*podaje mu świecę*).

CHŁOPOW (*probuje zapalić i znowu się droży*).

CHLESTAKOW.

Nie z tego końca pan palisz.

CHŁOPOW (*ze strachu upuścił cygaro i machając rękę mówi n. s.*)

Niech djabli porwał zgubiło mię to przekłętę tchurzowstwo!

CHLESTAKOW.

Pan, jak widzę nie lubisz cygara. A ja przeciwnie, nie mogę żyć bez tego, to moja słabość. Także i na conto kobiet, w żaden sposób nie mogę być obojętnym. A pan jakiej lepiej lubisz: blondynki, czy brunetki?

CHŁOPOW (*znajduje się w bardzo wielkim kłopotcie i nie wie co odpowiedzieć*).

CHLESTAKOW.

Nie, powiedz pan otwarcie: blondynki,
czy brunetki?

CHEŁOPOW.

Nie mogę wiedzieć...

CHLESTAKOW.

Nie, nie wymawiaj się pan. Ja chcę ko-
niecznie poznać jego gust.

CHEŁOPOW.

Ośmielam się więc... (n. s.) Sam nie wiem
co mówić, w głowie mi się przewróciło.

CHLESTAKOW.

Aha, nie chcesz pan powiedzieć. Zapew-
ne już jaka brunetka, serduszko mu zajęła.
Przyznaj się pan, zajęła?

CHEŁOPOW (milczy).

CHLESTAKOW.

O, o! zaczerwienił się! a widzisz! dla cze-
goż pan nie powiesz?

CHEŁOPOW.

Stchórzyłem, Wielmo... Jaśnie Wiel...
Jaśnie Oświe... (n. s.) Straciłem język!

CHLESTAKOW.

Stchórzyłeś?... o! w moich oczach jest

coś takiego co strach wzbudza, tak coś magnetycznego, nie prawdaż? Rzadko która dziewczyna wytrzyma, jeśli ja na nią spojrzę—nie także?

C H Ł O P O W.

Tak, w istocie.

C H L E S T A K O W.

Czy słyszałeś Pan o tém: że fatalny wypadek zdarzył mi się w téj podróży; wyexpensowałem się do kopiejki. Nie mógłbyś Pan pożyczyć mi cokolwiek?.. A ja Panu jutro z majątku odeszlę.

C H Ł O P O W *(chwytając się za kieszeń, mówi do siebie)*

Oto będzie sztuka, jeżeli nic nie ma!— Jest, jest!.. *(wyjmuje i drżąc podaje asygnacye.)*

C H L E S T A K O W.

Slicznie dziękuję!

C H Ł O P O W.

Nie ośmielę się dłużej utrudzać Pana moją wizytą.

C H L E S T A K O W.

Upadam do nóżek!

C H Ł O P O W *(prędko wybiega).*



SCENA SZÓSTA.

CHLESTAKOW — ZIEMLENIKA.

ZIEMLENIKA (*wyciągnięty podtrzymując szpadę.*)

Mam honor przedstawić się: Kurator tu-
tejszych Szpitalów, Nadworny Sowie-
tnik, Ziemenika.

CHLESTAKOW.

Witam Pana — proszę siedzieć.

ZIEMLENIKA.

Miałem ten honor i zaszczyt oprowadzać
pana i przyjąć jego dostojną osobę, w powie-
rzonych mojemu dozorowi Szpitalach.

CHLESTAKOW.

A... tak, pamiętam. Pan bardzo dobrze
ugościł mnie swoim śniadaniem.

ZIEMLENIKA.

Chętnie poświęcam moje usługi, dla do-
bra kraju.

CHLESTAKOW.

Lubię dobrą kuchnię, to jest moja sła-
bość. Powiedz mi pan proszę, zdaje mi się,
że wczoraj jego figura była nieco niższą, nie
prawdaż?

ZIEMLENIKA.

To wszystko być może. (*milozenie*) Mo-
gę śmiało wyznać, że nic nie oszczędzam i

gorliwie spełniam moją służbę. (*przysuwa się bliżej ze stolkiem i mówi półgłosem*) Ale tutejszy pocztmejsster, zupełnie nie robi: wszystkie akta są w wielkiem zaniedbaniu, pakiety się zatrzymują.... racz pan sam się o tém przekonać. Sędzia powiatowy, który tu był przed mojem przyjsciem, także nie robi, jeździ tylko na polowanie za zajacami, i w sali sądowej psów utrzymuje — Muszę jeszcze wyznać, a to jedynie dla dobra kraju, że chociaż on jest moim krewnym i przyjacielem, ale najgorzej się prowadzi. Jest tu jeden obywatel Dobczyński, którego pan raczyteś już widzieć; otoż, jak tylko ten Dobczyński wyjdzie gdziekolwiek z domu, to nasz Pan Sędzia, szmyk! i już jest przy jego żonie. Na to przysiądz jestem gotów. Racz pan tylko zobaczyć dzieci: ani jedno z nich do Dobczyńskiego nie podobne; ale wszystkie, a szczególnie małeńka córeczka, to wykapany Sędzia.

CHLESTAKOW.

No proszę pana! a jam się tego nigdy nie spodziewał.

ZIEMLENIKA.

A Inspektor tutejszej szkoły... Ja nie

wiem, jak mogła zwierzchność powierzyć mu tak ważny obowiązek — On jest gorszym od Jakobina; wpaja w młodzież tak niebezpieczne zasady, że trudno wyrazić. Jeżeli Pan każe, to ja to wszystko podam na piśmie.

CHLESTAKOW.

Dobrze! chociażby na piśmie. — To mi sprawi wielką przyjemność. Lubię bardzo, w chwili smutnej, przeczytać co wesołego. Jakaż pańska godność? Ciągłe zapominam.

ZIEMLENIKA.

Ziemenika.

CHLESTAKOW.

A, tak, Ziemenika! Powiedzże mi pan, czy masz dzieci?

ZIEMLENIKA.

Jakże, pięcioro; dwoje już dorosłych.

CHLESTAKOW.

Proszę, to szczęście! — A jakież są ich imiona?

ZIEMLENIKA.

Mikołaj, Jan, Elżbieta, Alexandra i Józefina,

CHLESTAKOW.

To dobrze.

ZIEMLENIKA.

Nie ośmielę się utrudzać pana dłużej; mam więc honor. . . .

CHLESTAKOW (*odprowadzając go*).

Zegnam, Najsliczniej panu dziękuję, za jego przyjacielską wizytę. Zmiłuj się pan, odwiedź mnie częściej. . . . tak wolniejszym czasem; bardzo proszę! (*odszedł ode drzwi i znowu się wraca krzycząc za nim*) Ej! Panie, panie! jakże tam? wszystko zapominam, jak się pan nazywa?

ZIEMLENIKA.

Ziemlenika.

CHLESTAKOW.

Zmiłuj się panie Ziemlenika, zobacz, czy nie masz przy sobie z jakich 300 rubelków; pożycz mi je na czas jak można najkrótszy... w drodze wszystko wyexpensowałem.

ZIEMLENIKA.

Mam (*daje mu*).

CHLESTAKOW (*obejrzawszy*).

No proszę, jakby odliczone. Upadam do nóg! sługa uniżony! Bardzo panu dziękuję.

SCENA SIÓDMA.

CHLESTAKOW, BOBCZYNSKI I DOB-
CZYNSKI.

BOBCZYŃSKI.

Mam honor przedstawić się: Mieszkaniec
tutejszego miasta Piotr, syn Jana, Dobczyński.

BOBCZYŃSKI.

Obywatel: Piotr, syn Jana Bobczyński.

CHLESTAKOW.

A, tak, ja panow już widziałem. (*do Dob-
czyńskiego*) Pan, zdaje się wtenczas upadłeś.
Cóż, jakże się ma jego nos?

BOBCZYŃSKI.

Bogu dzięki! zagoił się, zupełnie się zagoił.

CHLESTAKOW.

To dobrze, że się zgoił. Cieszę się z te-
go... (*odrywając mowę*) Pieniędzy nie ma u
pana?

BOBCZYŃSKI.

Pieniędzy? jakto?

CHLESTAKOW (*mocno i żywo*).

Na pożyczkę; tak z tysiąc rubelków nie
więcej.

BOBCZYŃSKI.

Tak wielkiej summy, dalibóg, nie mam.
Może jest u ciebie panie Pietrze?

DOBCZYŃSKI.

Ja przy sobie nie noszę, dla tego, że moje
pieniądze złożone są w przykazie.

CHLESTAKOW.

No, kiedy nie ma tysiąca, to choć sto.

DOBCZYŃSKI *(szuka po wszystkich kieszeniach)*.

U mnie wszystkiego 40 assygnacyjnych.
Czy nie ma u pana Piotra?

BOBCZYŃSKI.

Poszukaj tylko dobrze panie Pietrze. Pra-
wa twoja kieszen jest rozpruta: czy nie za-
padły gdzie przez dziurę.

DOBCZYŃSKI.

Nie, nie ma nawet i w dziurze, oprócz dro-
biazgu, trzech grzywienek srebrem.

CHLESTAKOW.

To dla mnie wszystko jedno: kiedy nie ma
sta, wezmę choć 40. I to na trzy dni tylko,
a potem panom zwrócę. *(Przyjmuje pie-
niądze)*.

DOBCZYŃSKI.

Ośmielam się zanieść moją małą prośbę,
w jednej bardzo delikatnej sprawie.

CHLESTAKOW.

Cóż to, co?

DOBCZYŃSKI.

Oto rzecz tak się ma: starszy mój syn u-
rodzony jeszcze przed ślubem...

CHLESTAKOW.

A!...

DOBCZYŃSKI.

To się tylko mówi, ale on jest moim włas-
nym synem, i urodził się w taki sposób, jakby już
było po ślubie; bo wszystko to, jak należy,
umocniłem później prawym związkiem mał-
żeńskim. Otóż chciałbym, ażeby on już został
moim prawym synem, i nazywał się tak jak
ja, Dobczyńskim.

CHLESTAKOW.

Dobrze, niechaj się tak nazywa; to można.

DOBCZYŃSKI.

Jabym pana nieutrudzał; ale szkoda chłop-
ca, taki żwawy, rostopny malec i wielkich
nadzieli — deklamuje na pamięć różne wiersze,
a jeśli znajdzie gdzie nożyk, to natychmiast

nim wystruga maleńkie drążeczki tak zgrabnie, jakby najlepszy mechanik. Pan Piotr może to zaświadczyć.

BOBCZYŃSKI.

Tak, wielkich zdolności chłopak.

CHLESTAKOW.

Dobrze, dobrze, ja się o to postaram; będę o tém mówił w Petersburgu... i bądź pan pewnym, że wszystko pójdzie dobrze; ja powiem to ministrowi... (*obraca się do Bobczyńskiego*) a pan nie masz mi nic do powiedzenia?

BOBCZYŃSKI.

A jakże, mam i ja najpokorniejszą prośbę.

CHLESTAKOW.

Wczém takim?

BOBCZYŃSKI.

Oto prosiłbym, gdy już będziesz pan w Petersburgu, ażebyś oznajmił wszystkim Magnatom, Senatorom, i Admiralom, że w takim to mieście, mieszka Piotr Iwanowicz Bobczyński. Czy pan powiesz, że tu mieszka Piotr Iwanowicz Bobczyński?

CHLESTAKOW.

Bardzo dobrze.

BOBCZYŃSKI.

A gdyby nawet przyszło panu spotkać się z samym Cesarzem, to i jemu pan powiedz: Najjaśniejszy panie, w takim to mieście mieszka Piotr Iwanowicz Bobczyński.

CHLESTAKOW.

Bardzo dobrze!

BOBCZYŃSKI.

Racz pan przebaczyć, żeśmy się ośmielili utrudzać go naszymi prośbami.

CHLESTAKOW.

Nic to, nic. Bardzo mi przyjemnie... (*odprowadza ich.*)

— — — — —

SCENA ÓSMA.

CHLESTAKOW (*sam*).

Tu jednakże jest wielu Urzędników. Teraz zaczynam się domyslać; nie zawodnie sądzę, że ja wiele znacę w Petersburgu. Moja fizjonomija jak uważam, zrobiła na nich wielkie wrażenie. . . I w saméj rzeczy, mogłem się im wydać niepospolitym człowiekiem, bo dla prowincjonalnych figur, ujrzeć przejeżdżającą osobę ze stolicy, z inném zupełnie wy-

chowaniem i w modnej stołecznej odzieży; w tém jest cóś czarującego. — Ale zobaczymy teź, wiele mamy pieniędzy. (*liczy*) Sto, dwieście... ah, jakaż zatluszczona!... pięćset... siedmset!... oho! więcej tysiąca!... tysiąc sto, tysiąc dwieście... No, nie zły kusz. Teraz panie piechotny Kapitanie! wpadnij tylko w moje ręce, dam ci się we znaki!... Jednakże to szlachetnie z ich strony, że mi pożyczili tyle pieniędzy. Nie ma co mówić, jest to czyn bardzo chwalebny! o tém warto napisać do mojego przyjaciela Trapiczkina, mieszkającego w Petersburgu; jest on autorem a razem i redaktorem różnych pism peryodycznych—niechaj więc między innymi i ich wyszydzi porządnie. Ej! Józef! daj tu atramentu, pióra i papieru. (*Józef wygląda ze drzwi bocznych i mówi.* „Zaraz, zaraz“.) Muszę donieść mu o wszystkim. Oh, to satyryk! jakich mało na świecie... wyszydzić, wyśmiać, oczernić; to jest jego żywioł... A co za dowcip, do zadziwienia! taki uszczypliwy, że i ojcu rodzonemu nie przepuści. Jednakże lubi pieniądze.

SCENA DZIEWIĄTA.

CHLESTAKOW I JÓZEF (z atramentem i papierem).

CHLESTAKOW.

No i cóż łotrze?... widzisz, jak mnie tu przyjmują, jak ugaszczają? (zaczyna pisać).

JÓZEF.

Tak, chwala Bogu! tylko wie pan co?

CHLESTAKOW. (pisząc).

Cóż?

JÓZEF.

Wyjeżdżajmy ztąd co żywo. Dalibóg już czas, i bardzo czas.

CHLESTAKOW. (pisząc).

Dla czegoż to?

JÓZEF.

Tak sobie. Niech ich wszystkich Bóg ma w swojej opiece. Pohulaliśmy tu przez dwa dzionki, to i dosyć na tém. Na co z niemi długo przestawać! rzuć pan ich! bo czasem bydź może, że kto drugi nadjedzie. Dalibóg panie! ruszajmy. A koniki tu są paradne: tak nas poniosą, że aż mifo!

CHLESTAKOW (j. w.)

Nie, mnie się chce, jeszcze tu do jutra pomieszkać.

JÓZEF.

Do jutra! dalibóg panie jedźmy lepiej dziś. Chociaż nam tu bardzo dobrze; lubią, nas poważają, szanują; ale zawsze lepiej wcześniej i z honorem wyjechać... Widać ze wszystkiego, że oni pana wzięli za kogoś drugiego — Ojciec nawet pański, będzie się gniewał, że w drodze tak długo bawisz... Do prawdy, panie! takbyśmy drapnęli aźby się zakurzyło. A koników tu danoby nam pięknych! (*kłaszcząc gębą.*)

CHLESTAKOW (j. w.)

No, dobrze już, dobrze. Odnies tylko wprzódy ten list na pocztę, i razem odbierz podorożne. Ale patrzaj, żeby konie były jak można najlepsze. Powiedz jemszczykowi, że mu dam dobry tryngield, niech tylko pędzi tak jak z feldjegrem, i w drodze śpiewa piosnki narodowe!... (*dalej pisząc*) Wyobrażam sobie, co na to powie, mój Trapiczkin: on taki do wciopnis...

JÓZEF.

Ja panie, odeszlę lepiej ten list przez tu-

tejszego człowieka, a sam wezmę się do pakowania rzeczy, ażeby czasu napróżno nie tracić.

CHLESTAKOW (*pisząc*).

Dobrze. Przynieś tylko świecę.

JÓZEF (*wychodzi i następujące słowa mówi za sceną.*)

Ej! bracie! słuchaj! odniesiesz list na pocztę, i powiesz Pocztmójstrowi, żeby go przyjął bez pieniędzy; powiedz także, ażeby natychmiast przysłano nam trójkę koni, samych najlepszych, kuryerskich, rozumiesz? a za prohonne pan mój nie płaci, bo jedzie za skarbowym interessem. Tylko żywo, jak można najprędzej, bo inaczej, pan mój się rozgniewa.— Stój!... jeszcze list nie gotowy.

CHLESTAKOW (*j. w.*)

Ciekawa jednak rzecz, gdzie on teraz mieszka, czy na pocztamtськіj ulicy, czy też gdzie w mieście. On tak jak ja, lubi często przenosić się z miejsca na miejsce, a nigdzie nie płacić. Napiszmy więc na los szczęścia: przy ulicy Pocztamtськіj. (*składa list i adressuje*).

JÓZEF (*ze świecą*).

CHLESTAKOW (*pieczętuje — w téj chwili słychać za drzwiami głos Dzierżymordy*).

DZIERŻYMORDA *(za sceną)*.

Gdzie leziesz, brodaczu! mówię ci: że nie wolno wchodzić!

CHLESTAKOW *(daje list Józefowi)*.

Na, masz, odnieś!

ABDULIN — GŁOSY KUPCOW *(za sceną)*.

Puszczaj pan! nie możesz nas zatrzymać. Przyszliśmy tu w ważnym interesie.

DZIERŻYMORDA *(j. w.)*

Idźcie sobie, idźcie! nie przyjmujecie! spi! (*hałas się powiększa*).

CHLESTAKOW.

Cóż to jest?... Józef! zobacz co tam za hałas?

JOZEF *(patrzy w okno)*.

To jacyś kupcy, chcą tu wejść, ale ich kwartalny nie puszcza. Machają papierami, zapewne pana chcą widzieć.

CHLESTAKOW *(podchodzi do okna)*.

A co, moi kochani?

ABDULIN *(za sceną)*.

Przychodzimy pod twoje stopy. Rozkaż królu, przyjąć nasze prośby.

CHLESTAKOW.

Puścić ich!— Józef, powiedz im niech tu wejdą.

JÓZEF (*odchodzi.*)

CHLESTAKOW (*przyjmuje przez okno prośby, rozkłada jedną z nich i czyta.*)

„Jaśnie Wielmożnej Swiatłości Panu Finansowu od Kupca Abdulina“... (*mówi*) djabeł wie, co to? nigdy o takim urzędzie nie słyszałem!



SCENA DZIESIĄTA.

CHLESTAKOW I KUPCY (*z koszem wina i głowami cukru.*)

CHLESTAKOW.

A co, moi kochani?

KUPCY WSZYSCY.

Czołem bijem, Łaskawy panie!

CHLESTAKOW.

Czegoż to chcecie?

KUPCY.

Nie gub nas, królu!— skrzywdzeni jesteśmy, i nie wiemy za co.

CHLESTAKOW.

Przez kogo?

ABDULIN.

Przez tutajszego Horodniczego. Ah! takiego Horodniczego króleczku, nigdzie jeszcze nie bywało.— On z nami tak postępuje, że nawet opisać trudno. Postojami już nas zupełnie zamorzył. Męczy i krzywdzi bez ustannie. Nie raz schwyciwszy za brodę, mówi: „Ah ty Tataryn“!... Dalibóg aż żal bierze!... Gdybyśmy go czémkolwiek obrazili, to jeszcze nie mówię— ale to my, widzi Bóg, co on tylko zechce, święcie wypełniamy: każdy z nas, (wiedząc już dobrze, że inaczej być nie może,) podaruje mu coś pięknego na suknię dla żony i córki; tego się nie żałuje, nikt z nas przeciwko temu i słowa nie mówi. Ale cóż, jemu wszystko mało. Nie raz przyjdzie do sklepu, i co tylko jest pod ręką to wszystko zabiera; sukna sztukę zobaczy, zaraz mówi: „E, mój kochany, to dobre sukno: zanieś go do mnie.“ Nie ma co robić, musisz nieść; a w sztuce będzie arszynów z pięćdziesiąt.

CHLESTAKOW.

Czy to być może? ah! jakiż on niegodny!

ABDULIN.

Dalibóg! takiego Horodniczego, nikt z nas niepamięta. Nie mówię już o tém: że bierze coś delikatnego, ale nawet najgorszą rzeczą nie wzgardzi. Oto na przykład, te proste śliwki, które już od siedmiu lat w sklepie moim leżą, a których nawet mój czeladnik jeść nigdy nie chce; on zawsze całą garść chwyci ich do kieszeni. A gdy nastaną jego imieniny, to jest na S. Antoniego, starasz się mu wybrać co tylko jest najlepszego w handlu, niczego nie skąpisz — nie, on chce jeszcze więcej: mówi że i na S. Onufrego także są jego imieniny. Cóż robić? nosimy mu prezenta i na Onufrego.

CHLESTAKOW.

A to prawdziwy rozbójnik!

ABDULIN (*wzdychając*).

Ah!... a spróbuj mu się w czémkolwiek sprzeciwić, wpakuje ci do domu cały pułk na postój. Zawoła cię do siebie, każe drzwi zamknąć i mówi: ja kochaneczku, bić ciebie nie będę; bo to jest prawem zabroniono; ale nakarmię cię śledziami.

CHLESTAKOW.

Ah! co to za łotr! takiego warto wysłać prosto na Syberją.

ABDULIN.

A już gdzie zechcesz królu, to go prowadź, tylko żeby od nas jak można najdalej. Nie pogardzaj ojcie nasz, chlebem i solą. Pozdrawiamy cię cukrem i winem.

CHLESTAKOW.

Nie, tak źle o mnie nie myślcie; ja żadnych wziętków nie biorę. Ale jeżeli mi dacie, tak sposobem pożyczki, jakich ze 300 rubli to zupełnie co innego: to mógłbym od was przyjąć, z warunkiem oddania.

ABDULIN.

Całym sercem dobrodzieju i Ojcie nasz. (*dobywają pieniądze*). Ale co to znaczy trzysta— weź pięćset, a tylko nam dopomóż.

CHLESTAKOW.

I owszem, na pożyczkę: to ja wezmę od słowa.

ABDULIN (*podając mu na srebrnej dużej tacy pieniądze*).

To już bądź łaskaw dobrodzieju, weź razem i tace.

CHLESTAKOW.

No, coś zrobić, wezmę i tace. (*Kupcy się kłaniają*).

ABDULIN.

Za jednym razem przyjmij łaskawco i cukier.

CHLESTAKOW.

O nie; tego ja przyjąć nie mogę.

JÓZEF

Jaśnie Wielmożny Panie! dla czego nie bierzesz? weź pan! w drodze wszystko się przyda. Dajcie tu głowy i kosz! co macie dawajcie! wszystko skonsumujemy. A co tam jest jeszcze? powrozek! dawaj go tu, i powrozek w drodze potrzebny— złamie się wóz, lub coś podobnego, to będzie czem związać.

ABDULIN.

Tak już zmiłuj się Jaśnie Oświecony Panie, chciój nas mieć w swojej opiece, bo jeśli ty nam nie dopomożesz, to już nic więcej nie pozostanie, tylko kamień u szyi uwiązać, lub się gdzie powiesić.

CHLESTAKOW.

Nieodmiennie, nieodmiennie. Ja się o to postaram. (*Kupcy z pokłonami odchodzą*).

GŁOS KOBIETY (*za sceną*).

Nie, ty nie śmiesz mnie zatrzymywać! Ja

na ciebie, przed nim samym skarżyć się będę. Ty mnie nie kułakuj tak mocno!

CHLESTAKOW.

Kto tam znowu? (*pochodzi do okna*). A, czegoż chcesz matulku?

GEOS KOBIETY. (*j. w.*)

Miłosierdzia twego panie proszę! racz mię królu wysłuchać.

CHLESTAKOW (*do okna*).

Puścić ją!



SCENA JEDYNASTA.

CHLESTAKOW I POSZLEPKINA.

POSZLEPKINA.

Ah! królu i panie, zmiłuj się nademną!

CHLESTAKOW.

Któż ty jesteś?

POSZLEPKINA.

Śłósarka, ojczy mój, mieszcanka tutajsza, Petronella Poszlepkinia.

CHLESTAKOW.

Czegoż chcesz odemnie?

POSZLEPKINA.

Litości proszę: na Horodniczego czołem biję. — Daj Boże jemu wszystko złe, żeby ani on, ani jego dzieci, ani brat ani ciotka, w niczem żadnego sporu nie mieli.

CHLESTAKOW.

Cóż on przewinił?

POSZLEPKINA.

Oto, mojemu mężowi, kazał głowę ogolić i oddać w rekruty, chociaż na niego jeszcze kólój nie przypadła. Ten nic dobrego, żeby on światu Bożego nieoglądał. Nawet podług prawa nie powinien był go zdawać, bo jest żonaty.

CHLESTAKOW.

Jakże on mógł to zrobić?

POSZLEPKINA.

Zrobił rozbójnik, zrobił: żeby go Bóg ciężko skarał na tym i na tamtym świecie! Należało wziąć szewskiego syna, bo to jest pijak, ladaco — Ale rodzice jego dali mu bogaty prezent, tak on i przylgnął do syna kupcowej Panteleowój; a Panteleowa także podała jego córce trzy sztuki płótna, więc on dalejże do mnie. Na co tobie mąż, powiada,

on ci na nic nie potrzebny. Ja to sama lepiej wiem, czy on mi potrzebny lub nie, to moja rzecz. Nikczemnik przebrzydły! chociaż twój mąż powiada, do tych czas nie jeszcze nie ukradł, to wszystko jedno — prędjéj czy późniéj kraść będzie nie zawodnie — jego i bez tego, na przyszły rok miano wziąć w rekruty. I zostawił mnie bez męża. Co teraz robić? któż się nademną zlituje! Rozbójnik ten! żeby on z całym swoim rodem nigdy szczęścia nie oglądał!

CHLESTAKOW.

Dobrze, dobrze matko. Ruszaj już ja mu to wszystko... ruszaj z Bogiem! (*wyprowadza staruszkę*).

POSZLEPKINA (*odchodząc*).

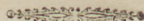
Nie zapomnij, ojeze mój! bądź litościwym.

CHLESTAKOW.

Dobrze, dobrze! (*z okna wysuwają się ręce z prośbami*.) A kto tam jeszcze? (*do okna*), Nie chcę, niechcę! nie przyjmuję! (*odchodzi od okna*). Dojedli mi już do żywego — Józefie! nie wpuszczać nikogo.

JÓZEF (*krzyczy w okno*).

Idźcie już, idźcie! teraz nie czas! jutro przyjdziecie! (*odchodzi*).



SCENA DWÓNASTA.

CHLESTAKOW I MARYA

MARYA (*wychodząc z drzwi bocznych*).

Ah!

CHLESTAKOW.

Czegoż się pani tak przestraszyła?

MARYA.

Nie, jam się nieprzestraszyła.

CHLESTAKOW (*z przymileniem*).

Ah pani! mogeż się ośmielić zapytać, gdzie pani miałaś się udać?

MARYA.

Prawdziwie; żem nigdzie iść nie chciała.

CHLESTAKOW.

A dla czegoż jesteś pani, tu, w tém pokoju?

MARYA.

Sądziłam, że znajdę tu moję mamę...

CHLESTAKOW.

Nie, ja radbym wiedzieć, dla czego pani nigdzie iść niechciałaś?

MARYA.

Może przeszkodziłam. Pan byłeś zajęty ważnemi sprawami.

CHLESTAKOW (*z przymileniem*).

Oczy pani ważniejszymi są nad wszystkie sprawy... Pani nie mogłabyś mnie w niczém przeszkodzić — przeciwnie, sprawiasz mi wielką przyjemność.

MARYA.

Pan się po stołecznemu wyrażasz.

CHLESTAKOW.

Tak, przed najpiękniejszą w świecie osobą. Czy nie raczysz pani usiąść? siadaj pani, bardzo proszę! patrzeć nie mogę na stojące osoby.— Dla pani potrzeba tronu a nie krzesła.

MARYA.

W istocie, nie wiem... mnie i na krzesło dość jest wygodnie.

CHLESTAKOW (*oglądając chusteczkę którą ona ma na szyi*).

Co to za śliczna chusteczka!

MARYA.

Pan żartujesz. Chcesz się tylko naśmiać ze skromnej parafianki.

CHLESTAKOW.

Ah jakżebym pragnął bydz pani chusteczką, by obiać mojem ramieniem jój liliową szyjkę.

M A R Y A.

Nie rozumiem o czém pan mówisz.—Jaka dziś śliczna pogoda.

C H L E S T A K O W.

Usteczka twoje pani, śliczniejsze są od samej pogody.

M A R Y A.

I znowu... Czy nie lepiej będzie: ażebyś mi pan na pamiątkę, napisał w Sztambuchu jakiegokolwiek wierszyki. Pan bez wątpienia, musisz ich wiele umieć?

C H L E S T A K O W.

Dla ciebie pani, gotów jestem wszystko uczynić. — Rozkaż tylko, jakich wierszy potrzebujesz?

M A R Y A.

Jakiegokolwiek, tylko żeby były nowe i ładne.

C H L E S T A K O W.

To dla mnie fraszka! ja ich wiele umiem na pamięć.

M A R Y A.

No, zadeklamujże mi pan, naprzykład te, które masz w Sztambuchu napisać.

CHLESTAKOW.

Na cóż jeszcze deklamować? Ja i tak napiszę.

MARYA.

Ah, ja lubię słuchać wiersze.

CHLESTAKOW.

W mojem archiwum jest ich dużo i różnych. Wreszcie kiedy pani chcesz koniecznie, to jęj wyrecytuję, naprzykład ten tryolecik:

Dziewczę! chcę cię pocałować,
 Bo masz buzię bardzo ładną;
 Ale proszę się nie chować.
 Dziewczę! chcę cię pocałować,
 Nie mogę tego darować;
 Tylko proszę, nie bądź zwaardną;
 Dziewczę! chcę cię pocałować,
 Bo masz buzię bardzo ładną.

(Przysuwa się do niej z krzesłem, ona się odsuwa).

No, i wiele innych, których na prędce nie mogę przypomnieć. Ale najlepsze ze wszystkich, są te:

Wszystko to, o co człowiek się ubiega,
 Zniemacka z czasem upływa —
 Każdy z nas jaśnie to prawo postrzega,

Ze chwila chwilę porywa:

Lecz miłość moja która z serca płynie,
Nigdy dla ciebie nie zginie.

*(Znowu się przysuwa, lecz ona się odsuwa
z krzesłem).*

M A R Y A.

Miłość! ja nie rozumiem co to jest mi-
łość... nigdy o niej nie słyszała.

CHLESTAKOW *(znowu się przysuwa).*

Na co pani odsuwasz swoje krzesło? nie-
lepiejże siedzieć blisko, jak przyjaciel z przy-
jacielem.

M A R Y A *(odsuwa się).*

Dla czegoż blisko? można i z daleka; to
wszystko jedno.

CHLESTAKOW *(przysuwając się).*

Kiedy wszystko jedno, więc można i blisko.

M A R Y A *(odsuwa się).*

Ale dla czegoż to?

CHLESTAKOW *(znowu się przysuwa).*

Pani się tak tylko zdaje, że blisko; wy-
obraż pani sobie, że jesteśmy z daleka od sie-
bie... Ah! pani byłbym nie wypowiedzianie
szczęśliwym, gdybym cię mógł do serca mo-
jego przycisnąć.

MARYA (*patrząc w okno*).

Co to jest? zdaje się że coś przeleciało?
Sroka, czy jaki inny ptaszek?

CHLESTAKOW (*całuje ją w czoło i patrzy w okno*).

To sroka.

MARYA (*wstaje z nieukontentowaniem*).

Ah! tego już nad to... Taka zuchwa-
łość!... (*chce wyjść*).

CHLESTAKOW (*zatrzymując ją*).

Przebacz pani! uczyniłem to z gorącej mi-
łości; doprawdy z miłości!

MARYA.

Pan mnie uważasz za taką parafiankę...

CHLESTAKOW (*zatrzymując ją ciągle*).

Z miłości, dalibóg z miłości. Ja tak tylko
żartowałem. Nie gniewaj się pani!... oto na
kolanach błagam cię o przebaczenie. (*pada na
kolana*).

SCENA TRZYNASTA.

CIŻ I ANNA.

ANNA (*wchodzi z bocznych drzwi, a widząc Chlestadkova
u nóg Maryi, klaska w ręce mówiąc z zadziwieniem*).

Co widzę?!

CHLESTAKOW (*n. s. wstając*).

Zjedźże djabła!

ANNA (*do Maryi*).

Co to jest? he! gdzieś ty to widziała?

CHLESTAKOW (*raptem pada na kolana*).

Ah! mamunie droga! jestem zakochany, śmiertelnie zakochany! — Proszę cię o rękę Maryi.

ANNA.

Jakto? mój Boże! możeż to być?... tak prędko, i jeszcze na kolanach!

CHLESTAKOW.

O rękę Maryi proszę! a jeżeli ty mamuniu! na to nie zezwolisz, w oczach twoich umrę, skonam, zastrzelę się! na tém samém miejscu na śmierć się zastrzelę!

ANNA.

Czy to we śnie, czy na jawie?... jeszcze z zadziwienia przyjść do siebie nie mogę... nigdy nie śmiałam myśleć nawet o podobném szczęściu. Pan powinienes się był ożenić z jaką Xiężniczką lub Grafianką.

CHLESTAKOW.

O, to dla mnie wszystko jest jedno! Ja się nie ubiegam za Grafiankami. Jeżeli pani nie

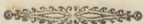
uczynisz zadość mojej prośbie, to nie możesz sobie nawet wyobrazić, co zemną się stanie—Przysięgam ci na słowo honoru! żem gotów na wszystko: u mnie umrzeć jest niczém.

ANNA.

Ah! mój Boże! pan mnie przestraszasz!—Życie sobie odebrać, a jeszcze w tak straszny sposób!... Wstań pan! już się zgadzam, przystaję, chętnie się zgadzam!... Ah! tylko wstań! wstań pan proszę.

CHLESTAKOW (*wstając*).

Ah! teraz jestem naj... (*n. s.*) I ta również apetytna! (*raptem bierze się do Anny*) Ah! jakże jestem szczęśliwy, że nakoniec mogę...



SCENA CZTERNASTA.

CIŻ I HORODNICZY.

HORODNICZY.

Jaśnie Wielmożny panie! miej litość! nie gub mię!

CHLESTAKOW.

Co panu jest?

HORODNICZY.

Oto: tutaj kupcy, skarżyli się na mnie

przed Jaśnie Wielmożnym panem. Lecz na Boga przysięgam! że to wszystko co oni mówili, ledwie o połowę jest prawdą. Oni to raczej oszukują i obdzierają ludzi.— Słósarka zaś nagadała: jakoby ja, jój mężowi głowę ogolił. To jest fałsz! nie goliłem, na honor! nie goliłem: ona sama ogoliła.

CHLESTAKOW.

No, no... uspokój się pan, ja im nic nie wierzę.

HORODNICZY.

Nie wierz, Jaśnie Wielmożny panie! nie wierz! To są wierutni łgarze, łotry, jakich święta ziemia jeszcze nie nosiła.

CHLESTAKOW.

O! tak, bez czci, bez wiary; ja to od razu z ich oczu poznałem.

ANNA.

Wiesz że ty Antołku! jaki zaszczyt nas spotyka?... Oto Jaśnie Wielmożny pan, prosi o rękę naszej Maryi.

HORODNICZY.

Co, co, co?... oszalałaś duszko?... Nie miej jój tego za złe Jaśnie Wielmożny panie! ona to czyni przez wrodzoną głupowatość; takąż była i jój matka.

CHLESTAKOW.

Nie, ja na seryjo proszę o rękę waszjej córki. Jestem w niej rozkochany.

HORODNICZY.

Nie śmiem wierzyć Jaśnie Wielmożny panie.

CHLESTAKOW.

Mówię to nie żartem. I jeżeli pan nie zechcesz zezwolić, to zrobisz mię najniezszczęśliwszym z ludzi.

HORODNICZY.

Dotąd nie śmiem wierzyć; nie godni jesteśmy takiego zaszczytu.

CHLESTAKOW.

Ulituj się panie! nie chciój mnie do rozpacz przywodzić. Jeżeli mi nie oddasz ręki swojej córki, gotów jestem na wszystko.

HORODNICZY.

Nie mogę wierzyć: Jaśnie Wielmożny pan żartuje.

ANNA.

Ah! jakiż z ciebie bałwan! przecież ci mówią...

HORODNICZY.

Nie mogę wierzyć.

CHLESTAKOW.

Raz ostatni proszę: oddaj mi pan rękę swojej córki, gdyż powtarzam, żem gotów na wszystko. A kiedy się zastrzeżę, wówczas pan będziesz sądzony.

HORODNICZY.

Ah, mój Boże! ja nic nie przewiniłem, ani duszą, ani ciałem. Nie chciéj się gniewać Jasníe Wielmożny panie! ró b ze mną co ci się podoba! ale w mojej głowie, teraz... sam nie wiem co się zrobiło. W jednéj chwili zostałem takim głupcem, jakiego dotąd na świecie nie było.

A N N A.

No, dalejże! pobłogostaw!

CHLESTAKOW (*podchodzi do niego z Maryją*).

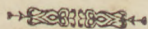
HORODNICZY.

Boże błogostaw! ale ja nic nie jestem winien.

CHLESTAKOW I MARYA (*całują się*).

HORODNICZY (*patrząc na nich*).

Co u diabła... czy ja dobrze widzę?... (*przeciera oczy*) Tak, w samej rzeczy, całują się — doprawdy się całują. Tak jakby był prawdziwym narzeczonym! ah! jakież to szczęście do nas zawitało!



SCENA PIĘTNASTA.

CIŻ I JÓZEF.

Konie już gotowe.

CHLESTAKOW.

A! dobrze; zaraz.

HORODNICZY.

Pan odjeżdża?

CHLESTAKOW.

Tak, jadę.

HORODNICZY.

Przecież, to jest... zdaje się... Pan raczyłeś sam, namienić coś o weselu.

CHLESTAKOW.

Tak, ja tylko na jeden dzień jadę do mojego stryja; jest to człowiek majątny, który nie daleko ztąd nie mieszka — A jutro niezawodnie, będę tu z powrotem.

HORODNICZY.

Nie ośmielimy się go zatrzymywać, w nadziei szczęśliwego powrotu.

CHLESTAKOW.

O! ja jestem punktualny. Bywaj zdrowa najdroższa Maryo, jedyny przedmiocie moich

cierpień! smutno, choć na czas krótki rozsta-
wać się z wami! Bywaj zdrowa, duszo moja!
(*całuje ją w rękę*).

HORODNICZY.

Czy nie potrzebujesz pan czego na drogę?
Zdaje się, że żądałeś pieniędzy?

CHLESTAKOW.

O nie, na co. (*pomyślawszy nie co*) A
wreszcie, nie zawadzi.

HORODNICZY.

A wiele?

CHLESTAKOW.

Cokolwiek. Dalesz mi pan wówczas, zdaje
się, dwieście... to jest, nie dwieście ale szcze-
rze mówiąc, czterysta; ja niechęć korzystać z pań-
skiej omyłki— Otóż chciój i teraz dać mi ta-
kąż sumę, ażeby było równo ośmset.

HORODNICZY.

Zaraz, natychmiast. (*wyjmuje z pugilare-
sem*) Oto są! a do tego, jakby umyślnie sa-
memi nowiusieńkimi bumażkami.

CHLESTAKOW.

A, tak. (*bierze i rozpatruje assygnaty*)
Wyśmienicie! mówią: że to oznacza nowe
szczęście, kiedy kto bierze nowe bumażki.

HORODNICZY.

Tak, w samą rzecz.

CHLESTAKÓW.

No; teraz bywajże mi zdrów mój kochany teściu! mocno mnie zobowiązałeś swoją gościnnością; wiele ci jestem winien. I jeżeli mam prawdę wyznać, lecz nie bierz to za komplement, ale nie doznałem nigdy w życiu podobnego przyjęcia. Bądź zdrowa mamuniu! Żegnaj cię Maryo!... Czekaście mnie z powrotem; może być, że jutro znowu się zobaczymy. (*Wychodzi—za nim wszyscy*).

—>>><<<—

(ZA SCENĄ.)

GŁOS CHLESTAKOWA.

Bywaj zdrowa Maryo! żegnaj cię mój Aniele!

GŁOS HORODNICZEGO.

Jakto? to pan prosto na perekładnych jedziesz?

GŁOS CHLESTAKOWA.

Tak, już ja do tego przywykłem. Mnie głowa boli od resorów.

GŁOS JEMSZCZYKA.

Tpr...

GŁOS HORODNICZEGO.

To przynajmniej pozwól pan zasłać czémkolwiek, chociażby dywanem. Jeżeli mu się podoba, to każę natychmiast podać?

GŁOS CHLESTAKOWA.

Nie, nie potrzeba... na co to! a wreszcie, każ pan niechaj dadzą dywan.

GŁOS HORODNICZEGO.

Ej! Awdota! ruszaj do składu: i przynies co żywo dywan; ale ten najlepszy z niebieskim dnem, Perski! prędjéj!...

GŁOS JEMSZCZYKA.

Tpr!..

GŁOS HORODNICZEGO.

Kiedyż więc pan rozkaże, czekać na siebie?

GŁOS CHLESTAKOWA.

Jutro, lub pojutrze niezawodnie.

GŁOS JÓZEFA.

A! to dywan? daj go tu; ot tak... tak kładnij!... teraz daj tu z téj strony siana.

GŁOS JEMSZCZYKA.

Tpr!...

GŁOS JÓZEFA.

Tu, tu; z téj strony!... tak!... jeszcze!... teraz dobrze. Miękkó będzie siedzieć! (*óije ręką po dywanie*) Teraz niech pan siada!

GŁOS CHLESTAKOWA.

Bywaj zdrów kochany panie Teściu!

GŁOS HORODNICZEGO.

Żegnam Jaśnie Wielmożnego pana!

KOBIECE GŁOSY.

Szczęśliwa droga! panie Alexadrze! do
widzenia!

GŁOS CHLESTAKOWA.

Do widzenia, mamuniu!

GŁOS JEMSZCZYKA.

Ej! wy! pajdi!!... (*Dzwonek za sceną
dzwoni kortyna zapada*).

KONIEC AKTU 4.



A R T 5.

(*Pokój ten sam.*)



SCENA PIERWSZA.

HORDNICZY — ANNA — MARYA.
I KWARTALNY.

HORODNICZY.

A co moja żono! czy myślałaś kiedy o podobnym szczęściu?... Co za bogata partya! wyznaj otwarcie: że tobie nawet we śnie nie podobnego się nie zamarzyło — Z prostój Horodniczyny, w mgnieniu oka zostać... siu wielką damą! i spokrewnić się z Jaśnie Wielmożną familiją!

ANNA.

Nie. Już ja od dawna o tém wiedziałam. Dla ciebie to wydarzenie zdaje się być osobliwém, bo jesteś prostak, nie widziałeś nigdy porządnych ludzi.

HORODNICZY.

Jakto nie widziałem? ja sam jestem porządnym. Niech kaci porwą! Co z nas teraz za ptaszki; górnołotne! nie prawdaż Anulku?... Teraz to zadam pieprzu wszystkim tym, którzy na mnie podawali skargi i donosy. Ej, jest tam kto? (*Kwartalny wchodzi*) A, to ty Swistunow. Zwołać wszystkich kupców. Ja im dam skarżyć się! widzisz ich kanalie!... poczekajcież gołabeczki! „Teraz to ja wam staną kością w gardle.“ Zanotować każdego który chodził na mnie ze skargą, a najwięcej tych pisarczuków co im bazrali prośby. Ogłosić wszystkim, ażeby wiedzieli: jakie dziś szczęście Bóg zsyła na dom Horodniczego, bo wydaje swoją córkę, za takiego urzędnika, jakich mało na świecie; który jest w stanie tułczych mieszkańców przepędzić, w turmę zasadzić, lub zrobić z nimi co zechce. — Oznajmić wszystkim a wszystkim, ażeby o tém całe miasto wiedziało: Krzycz na całe gardło każ taraba-

nić, walić we dzwony; „Kiedy bal! to bal!“
(Kwartalny odchodzi) Nie prawdaż Anuleczku, co? — Powiedz że mi moja duszo, cóż teraz z nami będzie? gdzie mamy mieszkać? tu, czy w Petersburgu?...

A N N A.

Naturalnie, że w Petersburgu. Tu w żaden sposób zostać nie możemy.

H O R O D N I C Z Y.

Tak, tak, w Petersburgu, chociaż nie źle byłoby i tu mieszkać. Mnie się zdaje, że teraz moje Horodniczowstwo, precz do czarta! — nie prawdaż Anuleczku, co?

A N N A.

Naturalnie—Co tam, to Horodniczowstwo!

H O R O D N I C Z Y.

Jak sądzisz Anuleczku, ja myślę, że teraz będę już mógł bezpiecznie lepsze miejsce schwycić; dla tego: że nasz przyszły zięć jest za pan brat ze wszystkimi Ministrami, i bywa na Cesarskich pokojach. — On może mię posunąć tak wysoko, że czasem i w Generalitet wleżę. Jak myślisz Anuleczku, mogę ja być Generałem?

ANNA.

Dla czegoż nie! możesz, i bardzo możesz.

HORODNICZY.

Ah! co to za rozkosz być Generałem! Wstęga przez plecy!... a jaka wstęga lepsza, Anuleczku? czerwona, czy błękitna?

ANNA.

Ma się rozumieć, że błękitna.

HORODNICZY.

Oho widzisz, czego jój się zachciewa!... tymczasem dobra będzie i czerwona. Wiesz że ty Anulku, dla czego ja chciałbym koniecznie zostać Generałem?... oto dla tego, że gdy przypadkiem zdarzy się gdziekolwiek jechać, to zaraz Feldjegry i Adjutanty skaczą obok ciebie, za tobą i przed tobą! A na stacyach pocztowych, nikomu nic nie dadzą; wszyscy ciebie tylko czekają: a to same tytularne figury; Kapitanowie, i Horodniczowie; a ty sobie ani dbasz, tylko siedzisz w powozie i gładzisz wąsy. Jesteś zaś na obiedzie u jakiego Gubernatora, to Horodniczy stoi tam gdzieś z daleka! He, he, he! (*zachodzi się ze śmiechu*) To bardzo pociągające!

A N N A.

Tobie zawsze głupstwa się podobają. Powinieneś być baczny na to: że odtąd twój sposób myślenia, należy zupełnie odmienić, gdyż twoimi znajomymi będą: nie, lada jaki Sędzia, z którym ty jeździsz szcwać zające, albo jakiś tam Ziemenika; ale przeciwnie, osoby w znaczeniu i z najlepszym wychowaniem, jakto? Hrabiowie, Xiążęta... Dla tego ja się bardzo boję o ciebie: bo ty wybakniesz czasem takie słówko, którego nikt w żadnym wyższym towarzystwie nie usłyszy.

H O R O D N I C Z Y.

Tak i cóż? słówkiem przecież nikogo nie skaleczysz.

A N N A.

Dobrze to jest: dopókiś był Horodniczym; żył w tej mieścinie, wszystko tobie uszło; ale w stolicy, to zupełnie co innego.

H O R O D N I C Z Y.

W rzeczy samej, prawda—mówią: że w Petersburgu, tak smaczne są ryby, że gdy je jeść zaczniesz, to aż ślinka pociecze.

A N N A.

W twojej głowie tylko same ryby! — ja

chcę koniecznie, ażeby dom nasz był pierwszym w całej stolicy, aby pokoje moje były przepelnione najdroższymi pachnidłami, a żeby każdy wchodzący mrużąc oczy powiedział: (*czyni to i wacha*) Ah! jak tu przyjemnie!



SCENA DRUGA.

CIŻ I KUPCY

HORODNICZY (*do wchodzących Kupców*).

A! jak się macie ptaszki!

KUPCY (*klaniając się*).

Zdrowia życzymy ojcze!

HORODNICZY.

A co gołąbeczki, jak tam idzie handel? Co, samowarniki, arszynniki przekłete! skrzyć się, he? Protokanalie, archibestyje! skrzyć się! Co? „wszystko zabiera!“ myśleliście może, że waszym słowom uwierzy, i do turmy zapakuje!... A czy wiecie wy? łajdaki, do stu par djabłów! wiecież wy, że...

ANNA (*przerywając*).

Ah! mój Boże! mój Antolku, jakich ty nieprzyzwoitych słów używasz!

E! co tam, ja nie o tém teraz myślę!...
Wiedzieć wy, że tenże sam urzędnik, przed którym mię oskarżyliście, żeni się z moją córką? he?... a co? na to powiecie? — Teraz ja was wszystkich tak wezmę w kluby, że ani jednego włoska w waszych brodach nie zostanie!... Złodzieje! wy tylko oszukujecie tutajszych mieszkańców... Rabusie! robi który z nich, podrad ze skarbem, na sto tysięcy... okpi, odrwi, dostawując zgniłe sukna, a potem kanalia ofiaruje za to dwadzieścia arszynów. — O! gdybym ja był wprzód to wiedział, że mi tak odpłacicie, wszystkich bym zgóry powywieszał! — Brzuch swój na przód wystawi, i mówi że on kupiec; nie rusz go. Ja powiada, i szlachcicowi w niczém nie ustąpię!... Szlachcic!... ah, wy chamy! — Szlachcic uczy się nauk: jeżeli go i sieką w szkołach, to dla tego, żeby był dobrym obywatelem, stał się użytecznym dla bliźnich i kraju, a ty co?... ty zaczynasz swój zawód od filuteryi, frantowstwa... ciebie gospodarz twój bije za to, że nie umiesz oszukiwać! — Wypasie brzuch, naładuje kieszeń, i już myśli że ważna figura... ptfu!... na twoją waż-

ność!... dla tego że szesnaście samowarów
w dzień wypijasz, masz być ważnym ?

KUPCY (*kłaniając się*).

Winniśmy, winni—Antoni Antonowiczu.

HORODNICZY.

Skarzyć się?... a kto ci pomógł odrwić,
kiedys budował most, ipodałeś drzewa na dwa-
dzieścia tysięcy, wówczas kiedy go nie było
więcej jak na sto rubli? he?... ja pomogłem.
A ty koźła brodo, o tém zapominasz? Gdy-
bym był chciał, jużbys dawno siedział w Sy-
birze. Milczysz? he?!

ABDULIN (*pada na kolana*).

Jak Bóg w niebie winienem. Nas zły
duch opętał. Już zarzekamy się. nie iść nigdy
ze skargą. Wszystko co zechcesz panie, go-
towi jesteśmy wykonać, tylko się nie gniewaj.

HORODNICZY.

Tylko się nie gniewaj!... teraz tarzasz się
u nóg moich, dla tego żem was zwyciężył: a
gdyby choć cokolwiek wierzch był z waszój
stróny, tobys ty mnie kanalio wciągnął w sa-
me błoto i jeszcze kamieniem przywalił.

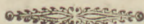
KUPCY (*bijąc pokłony na kolanach*).

Nie gub nas biednych Antoni Antonowiczu!

HORODNICZY.

Teraz, nie gub! a przed tém co było? Ja-
bym was wszystkich do turmy!... (*machnął*
ręką) Ale, Bóg kazał przebaczać! Wstańcie,
dosyć już tego! nie jestem mściwy; tylko te-
raz: patrzcie żeby było inaczej! Ja wydaję mo-
ją córkę, nie za jakiego prostego szlachcica.
Patrzajcież! ażeby powinszowanie było przy-
zwoite, nie dosć na tém, ażeby zbyć jaką fra-
szką, lub głową cukru, rozumiecie? — No,
ruszajcie z Bogiem!

KUPCY (*o Ichodzą*).



SCENA TRZECIA.

CIŻ LIAPKIN — ZIEMLENIKA — *później*
ROSTAKOWSKI.

LIAPKIN (*jeszcze we drzwiach*).

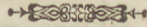
Mam że wierzyć, kochany panie Antoni?
Do twojego domu nadzwyczajne szczęście za-
witało.

ZIEMLENIKA.

Mam honor powinszować tak nadspodzia-
nego szczęścia. Serdecznie mnie to ucieszyło,
gdym się o tém dowiedział. (*całuje w rękę*
Annę i Maryę).

ROSTAKOWSKI (*wchodząc*).

Winszuję ci panie Antoni; niech Bóg przedłuży wiek twój i tej młody pary. Niech was liczném potomstwem obdarza, od wnucząt aż do prawnucząt. (*całuje rękę Anny i Maryi*).



SCENA CZWARTA.

CIŻ — KOROBKIN Z ŻONĄ — LIULIUKOW

KOROBKIN.

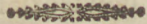
Mam honor złożyć im powinszowanie. (*całuje w rękę Annę i Maryę*).

ŻONA KOROBKINA.

Ah! z serca wam winszuję, tego nowego szczęścia.

LIULIUKOW.

I mnie, niech będzie wolno powinszować... panu!... pani!... (*całuje w rękę Annę, potem robi miny szyderskie do publiczności — do Maryi*) I pani!... (*całuje ją w rękę i znowu robi także same miny*).



SCENA PIĄTA.

(Wiele gości w surdutach i frakach zbliżają się najprzód do Anny, później do Maryi całując ich w rękę i szepecząc coś z ukłonami)
BOBCZYŃSKI I DOBCZYŃSKI.

BOBCZYŃSKI.

Mam honor powinszować.

DOBCZYŃSKI.

Mam honor powinszować.

BOBCZYŃSKI.

Nowego szczęścia!

DOBCZYŃSKI.

Nowego szczęścia!

BOBCZYŃSKI *(do Horodniczego)*.

Panu!...

DOBCZYŃSKI *(j. w.)*

Panu!...

BOBCZYŃSKI. *(do Anny)*.

Pani!...

DOBCZYŃSKI *(także)*.

Pani!... *(razem zbliżają się do Anny i uderzają się łbami całując ją w rękę)*.

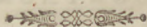
BOBCZYŃSKI *(do Maryanny)*.

I pani, panno Maryo!... mam honor po-

winszować. (*całując ją w rękę*) Pani zostajesz najszczęśliwszą istotą; będziesz nosić złotem haftowane suknie, pożywać delikatne potrawy, i trawić chwile najweselsze...

DOBCZYŃSKI (*przerywając*).

I pani, panno Maryo! mam honor powinszować. (*całując ją w rękę*) Niech ci Bóg da bogactwo, dukaty, i synka, ot tak... maleńkiego, (*pokazuje ręką*) któregooby można było na dłoni posadzić, i któryby tylko krzyczał: ua, ua, ua!



SCENA SZÓSTA.

(*Jeszcze kilku gości wchodzi i całują ręce tak jak uprzednio*). CIŻ I CHŁOPOW Z ŻONĄ.

CHŁOPOW.

Mam honor...

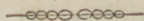
ŻONA CHŁOPOWA (*bieży naprzód, i mówi prędko do Anny*).

Winszuję, winszuję pani. (*całują się*) Ah! jakżem uradowana— powiedziano mi: że pani Horodniczyna wydaje za mąż córkę. Ah mój Boże! mówię do mojego męża: Czy słyszysz Łukaszu, co za szczęście spotyka naszych dobrych przyjaciół!... i tak zostałam tém za-

chwyconą; że z wielką niecierpliwością śpieszyłam osobiście okazać wam moją radość. Chwataż Bogu pomyślałam sobie, pani Horodniczyna oczekiwała ciągle jak najlepszej party dla swojej córki, a teraz właśnie przeznaczenie tak zrządziło, jak sobie życzyła. I w istocie, tak byłam tém uszczęśliwioną, żem mówić nie mogła z radości, i rzewne łzy roniłam. Mąż mój odzywa się do mnie; czegoż to moje życie tak niemiłosiernie płaczesz? ah! Łukaszeczku, mówię, ja sama nie wiem; a łzy tak jak z fontanny laty się na posadzkę.

HORODNICZY.

Siadajcież panowie! bardzo proszę. Ej. Michałek! przynies więcej krzesel. (*goście siadają*).



SCENA SIÓDMA.

CIŻ, CZASTNY PRYSTAW I KWARTALNI

CZASTNY PRYSTAW.

Mam honor powinszować Jaśnie Wielmożnemu panu: szczęścia i nowych pomyslności w jak najdłuższe lata.

HORODNICZY.

Dziękuję, dziękuję! proszę siedzieć, panowie! (*goście siadają*).

LIAPKIN.

Opowiedźże nam panie Antoni, od początku aż do końca, wszystkie szczegóły tego romansu, prosimy!

HORODNICZY.

Jest to nadzwyczajne wydarzenie, tok dzieła szczególnie: oświadczył się sam osobiście.

ANNA.

A to w sposobie pełnym najgłębszego uszanowania, i najwyższej delikatności. Pani! mówił do mnie z czułością, nie zwracam żadnej uwagi na to: że nie jesteś Xiężną lub Grafinią; ale jedynie przez wzgląd na twoją pani dostojność, i na rzadkie przymioty duszy twój córki; proszę cię o jej rękę, a jeżeli będziesz tak nielitościwą...

MARYA.

Ah mamó! on to do mnie mówił.

ANNA.

Cicho! ty nic jeszcze nie rozumiesz, zatem nie mięszaj się do tego co do ciebie nie należy!— Czy uwierzysz pani, mówił dalej, ja dla tego jedynie błagam cię o twoją rękę, czyli o rękę twój córki, że jej anielskie wdzięki wprawiły mię w zachwycenie, i przejęły ser-

ce moje najwyższém uczuciem. — Gdy się tak czule wyrażał, chciałam mu powiedzieć: że to jest dla nas wielkim i niezastużonym zaszczytem... natenczas on, padł w milczeniu na kolana, i głosem rospaczy rzekł: „Ah! pani! nie żądaj mojego nieszczęścia! jeżeli nie uczynisz zadość mojej prośbie, oto zaraz w twoich oczach, życie sobie odbiorę.

MARYA.

Doprawdy, mamó, on to mnie mówił.

ANNA.

Tak, zapewne... i o tobie także; ja tego nie przeczę.

HORODNICZY.

I okropnie nas przestraszył. „Zastrzełę się! mówił, na śmierć się zastrzełę!“

WIELU Z GOŚCI.

No, proszę!

LIAPKIN.

W istocie, to rzecz szczególna!

CHŁOPOW.

Oryginalna! widać że tak chciało przeznaczenie.

ZIEMLENIKA (n. s.)

Takiój szarój gąsce, to szczęście samo w rękę lezie.

LIAPKIN.

Jeżeli chcesz panie Antoni, więc z największą chęcią odstąpię ci tego charta, którego targowałeś.

HORODNICZY.

Mnie teraz nie charty w głowie.

LIAPKIN.

Kiedy ci się ten nie podoba, to możesz sobie wybrać innego.

ŻONA KOROBKINA.

Ah! kochana Horodniczyno, tak jestem uradowana, z waszego szczęścia, że nie możesz sobie wyobrazić.

KOROBKIN.

Gdzież teraz przebywa nasz dostojny gość, czy nie możnaby wiedzieć?... Słyszałem że odjechał.

HORODNICZY.

Tak, na jeden dzień tylko, za nader ważnym interesem.

ANNA.

Do swojego stryja, po błogosławieństwo.

HORODNICZY.

Tak jest, tak; prosić go o błogosławieństwo—lecz jutro... *kicha*—*życzenia jedno-*

głośne przytomnych) Bardzo dziękuję!... Lecz jutro będzie tu z powrotem... (*znowu kicha jednogłośne życzenia, między którymi słychać inne głosy jak to:*)

CZASTNEGO PRYSTAWA.

Życzę zdrowia JW. panu!

BOBCZYŃSKIEGO.

Sto lat i worek dukatów!

DOBCZYŃSKIEGO.

Sto chat i dwieście konsolacyi!

LIAPKINA.

A bodajes pękl!

ŻONA KOROBKINA.

Niech cię piorun trzaśnie!

HORODNICZY.

Najpokorniej dziękuję! I nawzajem, tegoż samego każdemu z was życzę.

A N N A.

Zamyślamy odtąd mieszkać w Petersburgu. Bo przyznać potrzeba, że tućjsze powietrze, za nadto już wiejskie!... I bardzo dla nas nie zdrowe. Przyniem, mąż mój otrzyma tam rangę Generała.

HORODNICZY.

Tak, prawdę mówiąc, panowie! chciałbym serdecznie zostać Generałem.

Razem.

CHEŁPOW.

O! daj to Boże!

ROSTAKOWSKI.

Wszystko to jest w mocy Boga!

LIAPKIN.

Wielki okręt, wielka woda! według stawu grobla!

ZIEMLENIKA.

Według zasług, chwała!

LIAPKIN (*n. s.*)

Dokaże sztuki, gdy w rzeczy samój zostanie Generałem!— Jemu Generalstwo tak przystoi, jak cielakowi siodło! Nie, jeszcze to widziałem pisano. Tu są godniejsi od ciebie, którzy dotychczas nawet nie myśleli o Generalstwie.

ZIEMLENIKA (*n. s.*)

Widzisz go już i na Generała leżie! czego dobrego, a to byź może. (*obracając się do Horodniczego*) Wówczas, panie Antoni dobrodzieju, nie zapomnij i o nas.

LIAPKIN.

A jeśli się coś wydarzy, naprzykład jaka potrzeba w sprawach, niechciej nam odmawiać swojej pomocy.

KOROBKIN.

Na przyszył rok, zawiozę mojego starszego syna do stolicy, dla kończenia nauk; chciał być panie! jego protektorem, i zastęp sierocie miejsce ojca.

HORODNICZY.

Z mojej strony, gotów jestem wszystko uczynić.

ANNA.

Ty, Antolku, nigdy nie nieodmawiasz, wszystko obiecujesz. Nie będziesz miał czasu nawet i myśleć o tém. Jakże można, tak ebie obarczać podobnemi fraszkami?

HORODNICZY.

Dla czegoż nie, moja duszko? kto tylko chce, wszystko może.

ANNA.

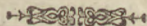
Może! łatwo to mówić.

ŻONA KOROBKINA *(do innych gości)*.

Słyszycie państwo, jak nas proteguje?

ŻONA CHŁOPOWA.

To nie nowina, ona taką zawsze była; wiemy o tém dobrze: posadź ją za stół, to ona jeszcze i nogi...



SCENA ÓSMA.

CIŻ I POCZTMEJSTER.

POCZTMEJSTER.

Ah! panowie, przychodzę wam objawić rzecz bardzo zadziwiająca.

HORODNICZY.

Cóż takiego? słuchamy.

POCZTMEJSTER.

Ale nie wiem jak tu zacząć: okoliczność tak dziwna, że....

G O Ś C I E.

To coś bardzo ciekawego — mów pan, mów prędzej!

POCZTMEJSTER.

Przychodzę do domu, i zastaję na poczcie list tego urzędnika, który raczył wszystkie nasze zakłady obejrzeć. Na kopercie było za adressowano jakiemuś tam Trapiczkinu w Petersburgu; przy ulicy pocztamtskiej. Skorom wyczytał pocztamtską ulicę, strętwiałem w momencie. Myślę sobie, to niezawodnie o mnie coś pisze. Zapewnie się zkąd dowiedział: że ja czasem przez ciekawość lubię jaki list przeczytać; i w téjże samej chwili, jakaś moc nie widoma, pokusiła mię rozpieczętować.

LIAPKIN.

Jakto! ten sam list?

HORODNICZY.

Jakim czotem?... (*Wszyscy przerażeni*).

POCZTMEJSTER.

Ja również, tak jak i wy teraz, tą myślą przerażony, z wielkim strachem położyłem list na stole, i chciałem już zawołać pocztioną, dla odprawienia go sztafetą. Lecz gdy się cokolwiek od stołu oddalił, znowu coś magnetycznego pociągnęło mnie ku niemu. W jednym uchu szepcze rozpieczętuj! w drugim, nie rozpieczętywuj! rozpieczętuj: nierozpieczętywuj. Z jednej strony jakby mnie kto w rękę szturkał, z drugiej mówi: ani się waź! zginiesz jak mucha!—Tak może z minut dziesięć walczyłem sam z sobą, nie wiedząc co przedsięwziąć; nakoniec zdecydowałem się, rozpieczętować!

HORODNICZY.

I pan śmiałeś?

POCZTMEJSTER.

Dalibóg rozpieczętowałem! lecz z taką trwogą, jakiej nigdy nie doświadczałem. Kazałem przymknąć okiennice, sam własnoręcznie zatknąłem wszystkie szparki. Lecz skorom palce na laku położył, ogień przejął wszystkie moje

ezłonki, a gdym pieczęć rozłaniał, uczułem dreszcz i zimno, jakby krew we mnie zamarła!— Kiedym nareszcie dobył już ten list nieszczęsny, niepamiętałem wówczas, gdzie i na którym świeccie byłem. Wargi moje i zęby tak strasznie drgały, że przez całą godzinę jednego wiersza nie mógł przeczytać.

HORODNICZY.

Jak pan się odważyłeś rozpieczętować list, tak ważnej i pełnomocnej osoby?

POCZTMEJSTER.

W tém też to i sztuka, że on nie jest ani ważną, ani pełnomocną osobą.

HORODNICZY.

Czémże więc jest, według pańskiego zdania?

POCZTMEJSTER.

Ani to, ani owo— Djabeł go wie kto on taki!

HORODNICZY (*z zapalczywością*).

Jak pan śmiesz to mówić? wiedz o tém, że ja każe wziąć go do aresztu.

POCZTMEJSTER.

Kto? pan?

HORODNICZY.

Tak, ja.

POCZTMEJSTER.

Za krótkie ręce.

HORODNICZY.

A wiesz że mój panie, że tenże sam urzędnik żeni się jutro z moją córką? — I że ja jak tylko zostanę Generałem, to cię w Sybir zapakuję.

POCZTMEJSTER.

Ah, mój panie Antoni, nie unos się tak bardzo! Co tam Sybir! Sybir! od nas daleko. Oto lepiej przeczytam ci ten list tajemniczy. Panowie! pozwolą?

WSZYSCY.

I owszem... Czytaj pan, czytaj,

POCZTMEJSTER (*czyta*).

„Maja dnia... i t. d. — Doniosłem ci ju
 „o tém, kochany mój Trapiczkin, jak mnie
 „ograł w Penzie pewien piechotny Kapitan.
 „Mój oberżysta chciał mnie już zawlec do
 „turmy. A do ojca nie śmiałem nic pisać
 „bo u niego zawsze jedna i taż sama piosneczka:
 „rózgi i różgi. Byłem w położeniu bardzo
 „smutnym, gdy nareszcie, los mój odmienił
 „się w jednej chwili: mieszkam teraz w do-
 „mu Horodniczego, lulam, bawię się, i prze-
 „pędzam czas en bons mots. Żona jego i cór-
 „ka, obie nie są dla mnie obojętne. Nie wiem
 „nawet do której się wprzód udać; lecz naj-
 „lepiej podobno będzie zacząć od matki, bo
 „do córki przystęp może być nie co trudniej-

„szym, a mamunia jeszcze niczego i w jednéj
 „chwili gotowa się po uszy zakochać. Sam
 „zaś Horodniczy, jest to człowiek najuczci-
 „wszy, patryarchalnie gościnny, ale głupi jak
 „siwy baran!!!“

HORODNICZY.

Nie. To być nie może! tam tego nie ma.

POCZTMEJSTER (*pokazując pismo*).

Czytaj pan sam!

HORODNICZY (*czyta*).

„Jak siwy baran“... to być nie może,
 to pan sam napisałeś.

POCZTMEJSTER.

Jakażbym ja mógł to napisać?

ZIEMLENIKA.

Czytaj pan dalej.

CHEŁPOW.

Tak jest, czytaj pan dalej.

POCZTMEJSTER (*czyta dalej*).

„Sam Horodniczy, jest to człowiek naj-
 „uczciwszy, patryarchalnie gościnny, ale głupi
 „jak siwy baran....“

HORODNICZY.

Niech djalli porwą! Jeszcze powtarza.

POCZTMEJSTER (*czytając dalej*).

„No... hm... hm, hm... jak siwy baran.
 „Pocztmejster także dobry człowiek...“ (*prze-
 staje czytać*) No, tu i o mnie także nie-
 grzecznie się wyraża.

HORODNICZY.

Nie, niech pan czyta!

POCZTMEJSTER.

Na cóż to?

HORODNICZY.

Nie, do sto djabłów! kiedy czytać, to czytać. Czytaj pan wszystko!

ZIEMLENIKA.

Pozwól pan, ja dokończę. (*Kładzie okulary i czyta*) „Pocztmejster, także dobry człowiek; nadzwyczajnie podobny do naszego departamentowego stróża Nikity; i ani wątpić, jest taki sam łotr i pijaczyna.“

POCZTMEJSTER (*do publiczności*).

A to przebrzydły młokos, którego tylko wysiec rozgami, i nic więcej!

ZIEMLENIKA (*czyta dalej*).

„Oprócz tego, kurator Szpitalów, jakiś tam“ e. e. et... (*jaka się*).

KOROBKIN.

Czegożes się pan zatrzymał?

ZIEMLENIKA.

Nie wyraźny charakter... wreszcie widać, że ten co to pisał jest hultaj, ladaco!

KOROBKIN.

Pozwól pan mnie; moje oczy dobrze widzą. (*chce odebrać list*).

ZIEMLENIKA (*nie daje*);

Nie, to miejsce można opuścić; a tam da-
lój dość wyraźnie pisano.

KOROBKIN.

Daj pan, daj! już ja będę wiedział.

ZIEMLENIKA.

Przeczytać, to ja i sam przeczytam. (*pa-
trząc w list*) dalibóg! wyraźnie.

POCZTMEJSTER.

Nie, nie; wszystko trzeba czytać!

WSZYSCY.

Tak, tak. Odaj pan list! — Niech pan Ko-
robkin czyta.

ZIEMLENIKA.

Zaraz, zaraz... (*oddaje list*) tylko palcem
zakryję. (*zakrywa list palcem*) Oto, tego tyl-
ko pan nie czytaj, a resztę wszystko można.

WSZYSCY (*przystępując do czytającego*).

POCZTMEJSTER.

Wszystko pan czytaj!

KOROBKIN (*czyta*).

„Oprócz tego kurator Szpitalów jakiś tam
„Ziemenika; wyobraź sobie osła w jarmuł-
„ce z ogromnemi uszami...“

ZIEMLENIKA (*do publiczności*).

Cóż tu tak dowcipnego! Bóg wie co: O-
sioł w jarmułce! nie ma w tém prawdopo-
dobieństwa — Czy widziano gdzie osła w jar-
mułce?

KOROBKIN (*czytając dalej*):

„A od Inspektora Szkoły, strasznie śmier-
„dzi cebula ...“

CHŁOPOW (*do publiczności*).

Dalibóg, nigdy nawet do gęby nie brałem
cebuli.

LIAPKIN (*n. s.*)

Dzięki Bogu, że przynajmniej o mnie nie
nie pisze.

KOROBKIN (*czyta dalej*).

„Oprócz tego jakiś tam Sędzia...“

LIAPKIN (*n. s.*)

Otóż masz! (*głośno*) Panowie, ja sędzę,
że list jest nie co za długi. Na ten raz dość
będzie i tego.

CHŁOPOW.

Nie, ja chcę wszystko wiedzieć.

KOROBKIN (*czyta dalej*).

„Jakiś tam Sędzia Liapkin — Tiapkin,
„szczególny mauvais ton...“ (*zatrzymując się*)
To musi być francuzkie słowo.

LIAPKIN.

A djabli go wiedzą, co ono znaczy!...
Jeżeli oszust, to jeszcze dobrze, a może być
co gorszego.

KOROBKIN (*czyta dalej*).

„Słowem: straszny gap! — Sądząc po mo-
„jej fizyjononii, wzięli mnie za Wojennego
„Generał Gubernatora. Ja z mojej strony,

„nie źle ich podskubałem — jesteś redakto-
 „rem pism, zmiłuj się więc, umieść ich gdzie
 „w jakim dziełku i okrytykuj porządnie. By-
 „waj zdrów, drogi przyjacielu. Idąc za two-
 „im przykładem, sam odtąd zajmę się literatu-
 „rą.— Smutno bracie, tak żyć: szukam posiłku
 „dla duszy, a poziome spóółstwo mnie nie
 „rozumi. Chcę więc nakoniec zająć się czémś
 „wyższem. Pisz do mnie do Saratowskiej
 „Gubernji, do majątku Podkatilówki.“ (*prze-
 wraca list i czyta adres*) „Wielmożnemu
 „panu, Janowi Triapiczkinu w S. Peters-
 „burgu, przy ulicy Pocztamskiej, w domu
 „pod N. 27 na trzecim piętrze.“

ŻONA KOROBKINA.

Co za nadspodziana i bezprzykładna kon-
 fuzja!

H O R O D N I C Z Y.

Ah! jestem zgubiony, zarznięty, zabity!
 Nic nie czuję, nic nie widzę. Posłać za nim
 w pogoń!... wrócić, wrócić go tu natych-
 miast! (*macha rękę*).

P O C Z T M E J S T E R.

Gdzie tam już wrócić! Jakby z umysłu,
 kazałem Smotrytielowi dać najlepszą trójkę; a
 nadto jeszcze; posłałem na piśmie zalecenie,
 do wszystkich pocztowych stacyj mojego okrę-

gu, aby go co najprędzej expedjowano — O!
wolałbym był żeby mnie wprzód pioruny!...

LIAPKIN.

Niech go tam djabli wezmą! — Dowiedźcie
się panowie, że on u mnie pieniędzy pożyczył.

ZIEMLENIKA.

I u mnie także, trzysta rubli.

POCZTMEJSTER (*wzdychając*).

Ab! i u mnie sto rubli.

BOBCZYŃSKI.

A od nas z panem Piotrem wziął czter-
dzieści assygnacyjnych i trzy grzywienki
srebrem.

LIAPKIN (*rozstawiając ręce*).

Jakże nam panowie? można było do ty-
la się zapomnieć.

HORODNICZY (*bijąc siebie w czoło i w plecy*).

Jakże ja?... nie, jakże ty! stary głupcze!
zgrzybiały, siwy baranie! mogłeś tak hanie-
bnie dać się w pole wywieść. Trzydzieści
lat już służę; żaden kupiec, żaden podradczyk,
w niczém nie mógł mnie podejść; najwięk-
szych łotrów odrwijałem; najrzęczniejszych
filutów, nawet takich co cały świat okraść
gotowi, łowiłem na wędę; trzech Gubernato-
rów oszukałem!... A teraz... jeden wietrz-
nik, młokos, u którego na brodzie mleko je-
szcze nie obeschło, tak zadrwił ze mnie! —
Ruszaj, łapaj ściągaj! i daj go tu!...

ANNA (*do męża*);

Jakto? to nieuchodzi, to być nie może!...
przecież on już był zaręczony z naszą Marją.

HORODNICZY (*z gniewem i żalem*).

Nie widzisz że jeszcze: iż u niego wszystko to było: tylko wiatrem?— Najrozpustniejszy filut, niech go jasny piorun trzaśnie!... Otóż sprawdziło owo przysłowie: że gdy kogo chce Bóg ukarać, najprzód mu rozum odbierze. I cóż w nim jest tak osobliwego, żeby go aż można było wziąć za tak ważną znakomitą figurę? niechajby miał w sobie coś przynajmniej takiego co wzbudza w ludziach szacunek, uszanowanie; a to djabli wiedzą co: jakiś wyschły gilbas; chudy jak widelec.— I jakim się to sposobem stało? kto pierwszy doniósł mi o tém, kto powiedział: że to jest urzędnik, przysłany do nas dla rewidowania?

ZIEMLENIKA.

Kto doniósł, kto powiedział! Oto ci dwaj gagatki! (*wskazuje na Dobczyńskiego i Bobczyńskiego*).

BOBCZYŃSKI.

To... to... to... nie ja—jam nawet o tém nie myślał.

DOB CZYŃSKI.

Ja także nic nie mówiłem, zupełnie nic. . .

ZIEMLENIKA.

Wy, nie kto inny.

CHEŁPOW.

Rozumie się, że wy. Naprzód wpadliście tu z traktyeru jak waryaci, krzycząc na całe gardło: znaleźliśmy go, przyjechał, przyjechał Rewizor, który pieniędzy nie płaci . . . prawda że nie płaci, ale pożyczka . . . Niech was djabli porwą! mieli kogo znaleźć!

HORODNICZY.

Naturalnie, wy miastowi nowiniarze, przebrzydłe spleśniałe plotki.

ZIEMLENIKA.

Idźcie do piekła! z waszym Rewizorem i waszemi nowinami.

HORODNICZY.

E! przekłete grzechotniki! włóczą się tylko po mieście, rozsiewają baśnie, i trwożą wszystkich! . . . sroki krótkoogoniaste!

LIAPKIN.

Obrzydłe kapcany!

CHEŁPOW.

Szlasmyce dziurawe!

ZIEMLENIKA.

Stare pantofle! (*wszyscy ich obstepują do koła*).

BOBCZYŃSKI.

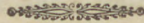
Dalibóg! to nie ja, to pan Piotr.

DOBCZYŃSKI.

Eh nie; to nie ja, to pan Piotr.

BOBCZYŃSKI.

Ale nie, ty wprzód!...



SCENA DZIEWIĄTA I OSTATNIA.

CIŻ I ŻANDARM.

ŻANDARM (*do Horodniczego*).

Przybyły za Najwyższym rozkazem urzędnik z Petersburga, żąda natychmiast widzieć pana u siebie; stanął w tutéjszej oberzy.

(*Wszyscy wydają okrzyk zadziwienia, i zostają w osłupieniu z otwartymi gębami, wyciągniętymi szyjami, etc. etc. Niema scena. Korytna zapada*).

KONIEC SZTUKI.



60 —



С. С. С. С.
Л. Л. Л. Л.

Antyki I k
Kraków, 10.10.20
— 60 st.

КНИГОВАРНА	КНИГАРНА		1920
	3 —	—	
12/2.41		22/19	X
40 1/2, 1/2, 2/2, 3/2, 4/2, 5/2, 6/2, 7/2, 8/2, 9/2, 10/2, 11/2, 12/2			



791449

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001010221387